

Prenumerata w Warszawie:
 Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60
 Za odnośnienie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
 i w Cesarstwie:
 Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25
 Za Granicą:
 Rocznie 12 guld.—18 m.
 Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
 WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Znak zapytania, przez J. L. P.—II. Z nędzy, przez A. Wiśniewskiego.—III. Filantropija w Londynie, przez A. P. Ordyńskiego.—IV. Spółczesny artyzm literacki, J. Laskowskiego.—V. Rachunek bieżący, przez J. H. Siemienieckiego.—VI. Głosy.—VII. Z kraju, przez J. Nieborskiego.—VIII. Korespondencje: z Ameryki, przez L. Dewojnę.—IX. Przegląd społeczny.—X. Przegląd polityczny.—XI. Kronika naukowa.—XII. Kronika powszechna.—XIII. Odpowiedzi od redakcyi.—XIV. Ogłoszenia.—XV. Odeinek: Zemsta. Legenda, przez Brolisa. (Ciąg dalszy).

Numer dzisiejszy zawiera stro-
 nic czternaście.

Znak zapytania.

W tych dniach zebrała się już i rozpoczęła posiedzenia międzynarodowa konferencja w Berlinie. Oprócz wielkich i małych państw przemysłowych posłały tam swoich przedstawicieli nawet Danija, Szwecya i Hiszpanija. Ale „brak jednego w narodów radzie” a raczej w radzie państw—brak przedstawicielstwa Rosyi, która jest już dzisiaj wielką potęgą przemysłową, aczkolwiek ani ilością robotników, ani rozmiarami produkcji niedorównywa wielkim państwom zachodnio-europejskim. Pomimowoli nasuwa się pytanie, jakie są przyczyny tej nieobecności: czy Rosya sama odmówiła udziału w konferencji, czy też nie została zaproszoną do wspólnych obrad, a jeżeli tak—to dla czego?

Kiedy poprzednio podnoszono kilkakrotnie myśl międzynarodowego uregulowania prawodawstwa robotniczego, Rosya nie odmawiała swego udziału w tej sprawie, owszem, popierała nawet tego rodzaju projekty. Trudno więc przypuścić, żeby nagle nastąpiła zasadnicza zmiana poglądów w sferach decydujących.

Powody polityczne winny być również wykluczone, stosunki bowiem rządu rosyjskiego z innymi państwami są, przynajmniej formalnie, lepsze, aniżeli przed kilkoma laty. Pozostaje więc jedno tylko przypuszczenie, że Rosya nie spodziewa się, żeby konferencja dała jakiegokolwiek rezultaty praktyczne, chociaż i w tym razie nie byłoby, zdaje się, uzasadnionej racyi nie przyjmowania udziału w obradach.

Jeżeli zaś Rosya pominiętą została umyślnie przez inicjatorów konferencji, to faktu tego tymbardziej niepodobna objaśnić racjonalnie, przyjmując w dobrej wierze ogłoszony publicznie program obrad. Ustrój przemysłu rosyjskiego nie różni się niczem zasadniczo od przemysłu europejskiego, jest bowiem również, chociaż może nie w tym sa-

mym stopniu, kapitalistycznym. Niepodobna przypuścić, żeby w Berlinie i wogóle w Europie podzielano poglądy tych ekonomistów, którzy twierdzą, że kapitalizm nie ma gruntu w Rosyi. Kapitalistyczny system produkcji, zwłaszcza przemysłowej, jest tu faktem dokonanym i, co najwyżej, powiedzieć tylko wolno, że, korzystając z doświadczenia innych, Rosya uniknąć może kapitalistycznego ustroju społecznego, a raczej tylko pewnych jego właściwości, nie zawsze bowiem ustawa społeczna musi być z góry a szczegółowo określonym odpowiednikiem danego systemu produkcji materialnej.

W każdym razie przemysł rosyjski różnorodnością i rozmiarami produkcji, ilością zatrudnionych w nim robotników, poniekąd nawet techniką stanowi siłę poważną. Co do sumy produkcji i ilości robotników ani przemysł belgijski, ani szwajcarski, ani tymbardziej skandynawski lub hiszpański dorównać mu nie mogą, różnorodnością zaś wytwarzania i obfitości warunków naturalnych dla swego rozwoju—góruje nad wszystkimi. Kwestya robotnicza istnieje dziś w Rosyi, jak istnieje wszędzie, gdzie panoszy się przemysł kapitalistyczny, mowa więc być tylko może o mniej lub więcej ostrym jej charakterze, o mniejszym lub większym stopniu natężenia antagonizmów. Zresztą pod tym względem olbrzymie państwo rosyjskie przedstawia wielką różnorodność warunków i niektóre części jego, jak np. okręgi fabryczne Królestwa, posiadają stosunki społeczne i ekonomiczne, nie wiele różniące się od europejskich. Prawodawstwo fabryczne w Rosyi od niedawna istnieje, ale pomimo wielu przeszkód rozwija się stopniowo; oprócz wydanych dotychczas przepisów, kilka innych, doniosłych ustaw czeka sankcyi prawodawczej. Zapewne, że prawodawstwo to ustępuje o wiele szwajcarskiemu a nawet niemieckiemu, ale np. z austriackim śmiało wytrzymać może porównanie. Cóż mówić o Francyi, w której nie ma prawie specjalnego prawodawstwa robotniczego, lub o Belgii, w której nie ma go wcale. Instytucja inspektorów fabrycznych zapewnia należyta kontrolę. Niektóre względy, jak np. znacznie mniejsza w Rosyi wydajność pracy robotnika niewątpliwie utrudniałyby

porozumienie np. w kwestyi uregulowania produkcji lub ustanowienia normalnego dnia roboczego, ale i w Europie różnica wydajności pracy pomiędzy robotnikami różnych krajów jest dosyć znaczną. Angielski robotnik bardziej może różni się np. od austriackiego, aniżeli ten ostatni od rosyjskiego. Prawda, przemysł ruski prawie nie eksportuje swoich wyrobów na rynki europejskie lub amerykańskie, ale za to współzawodniczy coraz poważniej na rynkach azjatyckich, a pewne gałęzie jego z pewnością wywalczą sobie wkrótce liczne rynki zbytu w Europie. Uwolniony teraz od wszelkich wzajemnych zobowiązań, które, bądź-co bądź, krępować będą inne państwa, stać się może na wspólnych rynkach zbytu bardzo niebezpiecznym konkurentem. Słowem nie tylko nie ma słusznego powodu wyłączenia Rosyi, ale nawet własny interes państw, obradujących obecnie w Berlinie nad uregulowaniem prawodawstwa robotniczego, nakazywał szukać z nią porozumienia.

Prędzej więc, powtarzamy, przypuścić można, że Rosya nie chciała przyjąć krępujących ją zobowiązań, ale: 1) sama niedawno jeszcze skłaniała się chętnie do projektu porozumienia międzynarodowego, 2) odmowa wywołałaby jeżeli nie środki represyjne, to zapowiedź takowych, albo przynajmniej starania dyplomatyczne, o czym nie było ani wzmianki.

W pismach znajdujemy rozmaite próby objaśnienia tego faktu, sama jednak różnorodność ich dowodzi, że właściwych informacji nikt nie posiada. Jedno jest jasne: w Berlinie nie mają pretensyj do Rosyi za to, że udziału w konferencji nie wzięła. Rosya zaś nie gniewa się o to, że ją pominięto, owszem jest nawet zadowoloną z tego. Okazuje się więc, że usunięcie Rosyi nastąpiło *tacito consensu* obu stron zainteresowanych. Ale tu wraca znowu pytanie: dla czego?

Bardzo być może, iż konferencja, oprócz bezpośredniego przedmiotu swych zajęć, oficjalnie zapowiedzianego, zajmie się—wprawdzie nie zasadniczym uregulowaniem produkcji—ale uporządkowaniem stosunków wymiennych, jak np. kwestyi ceł i t. p., przynajmniej poczynione będą napewno próby w tym kie-

runku, przygotowany grunt do przyszłych porozumień. O wielkim związku celnym państw środkowo-europejskich wraz z Francją niejednokrotnie już mówiono i to może tłumaczy wyraźną nieufność Anglii do konferencji berlińskiej.

W takim zaś razie Europa uważać musi Rosyję po prostu za swój rynek zbytu, a rynki zbytu nie mają głosu w międzynarodowych obradach, gdyż jedynym przeznaczeniem ich jest być wyzyskiwanymi. Jeżeli nawet solidarność międzynarodowa pracowników, chociaż w imię interesów ludzkości, ma na widoku tylko niewielką część jej—europejsko-amerykańską, to tymbardziej jasnym jest, że solidarność wytwórców wyłącza zupełnie spożywców. O wyzyskiwaniu Rosyi, jako rynku, poważnie myślą jeszcze nieraz w Europie, chociaż jednocześnie obawiają się już współzawodnictwa jej, jako wytwórcy.

Rosyja jest dzisiaj już samodzielnym organizmem ekonomicznym, posiadającym prawie wszystkie naturalne warunki dla wszechstronnego rozwoju swej produkcji: węgiel, żelazo, bawełnę, len, a nawet takie rzadkie ciała kopalne jak siarkę, grafit i platynę. Nie ma dziś takiej gałęzi produkcji, której by u siebie rozwinąć nie mogła. Posiada również obszerne wewnętrzne rynki zbytu i wielkie kolonije, które tem się tylko różnią od kolonij innych państw europejskich, że znajdują się w bezpośrednim zetknięciu z metropolią. Wreszcie wpływy jej handlowe rozszerzają się coraz więcej na przyległe państwa azjatyckie. Wywozi zaś Rosyja do Europy przedmioty niezbędnego użytku i materiały surowe.

Słowem może stanąć do współzawodnictwa ze zreszłą ekonomicznie Europą, jako zupełnie samodzielny organizm ekonomiczny.

Jak współzawodnictwo pojedynczych przedsiębiorstw zastąpione zostaje współzawodnictwem wielkich związków, tak samo współ-

zawodnictwo pojedynczych narodów zamienić się musi we współzawodnictwo wielkich organizmów ekonomicznych. W świecie cywilizowanym kształtują się i wyodrębniają dziś trzy takie organizmy: europejski, wraz z całą masą rynków zbytu, rozrzuconych po różnych częściach świata; amerykański, który próbuje zjednoczyć się i usamowolnić oraz zdobyć rynki wschodnio-azjatyckie i ruski, z rynkami Azji środkowej. Rozumie się wchodzi tu w grę rozmaite czynniki, przeważnie polityczne, które wyodrębnienie to utrudniają, ale pomimo to uwidacznia się ono coraz bardziej. Konferencja berlińska zdaniem naszym, jest może mimowolnym, ale wymownym faktem tego stwierdzeniem.

J. L. P.

Z NĘDZY.

Pod powyższym wymownym tytułem w każdym numerze naszego pisma, począwszy od nr. 21 z r. z., czytelnicy zauważyli w *Kronice* notowane wszystkie ogłoszenia o zamiarze oddania dzieci na własność, pomieszczone w prasie warszawskiej i prowincjonalnej, oraz o samobójstwach, których przyczyną był brak środków do życia. Obecnie przyszła pora zsumowania cyfr pojedynczych i przekonania się, co też one nam powiedzą.

Jeżeli rozstanie się z dzieckiem nawet na czas bardzo krótki jest dla rodziców rzeczą wielce przykłą, to cóż dopiero powiedzieć o rozstaniu się na zawsze, o wyrzuceniu się zupełnie dziecka, oddaniu go na własność komu innemu, u którego dzieciakowi może wypaść bardzo wiele wycierpieć. Sądzę, że każdy, kto ma dzieci, zrozumie to doskonale. Suka broni swoich szczeniąt, gdy jej kto chce takowe zabrać, a tu ojciec lub matka dobrowolnie odstępują wszelkich praw do swego dziecka, które może zostanie wywiezione gdzieś daleko, z kąd już nigdy nie powróci, aby się zobaczyć z nimi; może zresztą, spotkawszy się nawet z rodzicami, będzie w sercu czuło do nich wstręt za to zrzeczenie się; może będzie wychowane w ten sposób, że choćby je później rodzice zobaczyli, to będzie dla nich obcem, a nawet wrogiem.

Mimo to wszystko jednak, począwszy od dnia 16 maja do końca r. z. za pomocą ogłoszeń w pismach chciano odstąpić na własność 47 dzieci płci obojej. Do takiego kroku może popełnić człowieka tylko ostatnia nędza. I rzeczywiście tak jest. W celu lepszego zbadania sprawy w kilku wypadkach sam osobiście udawałem się na miejsce, wskazane w ogłoszeniu, aby zbadać przyczyny, które popychały rodziców do tego kroku. Otóż zawsze przyczyną była straszna, wyjątkowa nędza. Widziałem to biedne wdowy po robotnikach, nie mogące się w żaden sposób wyżywić z pięciorgiem drobnych dzieci z pracy rąk własnych, to ojciec rodziny złożony był długą chorobą, skutkiem czego rodzina zubożała i znalazła się w konieczności pozbycia choć jednego członka, z którym razem ubywała jedna gęba do jedzenia, w innym znów wypadku ojciec przy pracy utracił obie nogi i nie mógł już zarabiać na utrzymanie żony i dzieci, postanowiono więc najmłodsze dziecko oddać komukolwiek, ktoby je tylko chciał przyjąć i t. d.

Mógłby ktoś powiedzieć, że inne wypadki, których nie badałem osobiście, nie wynikały z nędzy, lecz spowodowane były chęcią pozbycia się dzieci, niezrodzonych w małżeństwie, aby uniknąć hańby, jaką społeczeństwo obarcza kobiety niezamężną, która została matką. Po bliższym zbadaniu okaże się jednak, że zarzut ten nie wytrzymuje krytyki. Matka, która się chce pozbyć dziecka z obawy przed hańbą, z pewnością nie da do pism ogłoszenia, gdyż w takim ogłoszeniu trzeba podać adres, pod którym interesowani mają się zgłaszać, matczyństwo więc danej kobiety nie mogłoby się ukryć. Matka taka albo dziecko podrzuci, albo też odda je *na garnuszek*, jak to mówią powszechnie. Przyczyną więc danego objawu jest wyłącznie nędza, nigdy zaś obawa hańby. W tych kilku wypadkach, które bliżej zbadalem, okazało się, że rodzice, chcący wyrzec się swych dzieci, byli to ludzie bardzo uczciwi, porządni, co mi zaświadczyli inni lokatorzy tego samego domu. Z drugiej strony odstępowano nie tylko dzieci bardzo młode, lecz i starsze do pięciu lat wieku, i to nawet przeważnie starsze. Gdyby więc chodziło o ukrycie owoców błędu, w takim razie staranoby się pozbywać wyłącznie dzieci dopiero urodzonych, nigdy zaś już w pewnym stopniu odchowanych, o których każdy ze znajomych dawno się dowiedział. Najmłodsze

ZEMSTA.

(Legenda).

(Dalszy ciąg.)

— Uważasz waspan, jak śpiewaliśmy psalmy, natrafiamy na jeden, co się zaczyna: „Obrońco uciśnionych Boże litościwy”—chcę zaczynać, a stary bratezyk powiada:—nie śpiewaj waszeć tego psalmu, bo nie godzi się. Pytam, dlaczego nie godzi się? tedy on zaczął tłumaczyć, że jakoby ten psalm jest przez samego Ojca świętego zabroniony, czy to prawda?

— Jeżeliby Ojciec święty zabronił—rzekł starzec poważnie—tedyby i w kancyrkach nie drukowano; znaczy to nie prawda! A że nie wolno śpiewać byle komu, to powiedziano słusznie.

— A dlaczego nie wolno?

— Bo to, widzisz, król Dawid, gdy mu stała się wielka krzywda od Saula, a nie miał przeciw niemu sposobu, zaśpiewał ten psalm potrzykroć. Natenczas Bóg rzekł: „Dawidzie, ukarzę Saula jako jest godzien, lecz nigdy nie wzywaj mej pomsty, bo gdyby Saul nie miał tyle win, ile jest gwiazd na niebie, gniew mój zwróciłbym ku tobie.”

Gdy staruszek zamilkł, Wisławas, obracając się do chłopca, rzekł żartobliwie:

— Ot, jeżeli dziewcząt nie balamucisz, nikogo

w życiu nie oszukałeś, do kościoła chodzisz co niedzielę, a do karczmy rzadko i to bez złej myśli, to jak ciebie gospodarz *skroi* powrozem, śpiewaj „obrońco uciśnionych”, natenczas on stanie się parobkiem, a ty gospodarzem i będziesz go okładał wiciną, ile się podoba.

Dangialis surowo mruknął:

— Waspan nie żartuj z takich rzeczy! Wincuk rozumie, że wacpan *szycisz*, a jakiś dureń mógłby zaśpiewać i zginąć za nic.

Minkialis też odezwał się:

— Panie Jurgis, z Bogiem żartów nie ma... to nie swój brat.

Wisławas spoważniał i rzekł:

— Przecie bez żadnej złej intencji gadałem; Wincuk sam piśmienny i rozumie, co znaczy taki psalm: jeżeli świętemu i królowi Bóg zabronił śpiewać, któżby z nas grzesznych ośmielił się..

Wiosenne słońce podnosząc się do niebieskiego stropu, coraz bardziej doskwierało, spoczone konie ledwo się wlokły; to też podróżni z radością powitali ukazujące się w dali ciągnięskie miasteczko: upał jak, zwykle, przebędą na popasie, a pod wieczór wyruszą.

III.

Zatrzymali się, odpręgli konie, uwiązali do wozów i, wydobywszy zapasy, ruszyli do karczmy, posilać się. Załedwo usiedli, Kiarszas, pykający przy oknie lulkę, odwrócił głowę i rzekł:

— Panie Onufry, waspana koń oderwał się od wozu i biegnie za drogę, na ruń.

Staruszek powstał z ławy, lecz nim wyszedł z za stołu, nim przebiegł drogę, szkapę już wpadła do żyta. Na nieszczęście Dobrowicz w tej chwili przejeżdżał konno; zatrzymał się, zaczekał, aż koń uszczknie runi, poczem z dziekiem zadowoleniem porwał go za trędzę i popędził do dworu.

W karczmie stał się popłoch. Parobczak Kiarszasa, co ujął już czapkę, chcąc biedz, pomagać staremu łapać konia, stał z rozdziawioną od przerażenia gębą. Myślano, że szkapę porwał poprostu rabuś, lecz gdy arendarz objaśnił, że to ich ekonom—uspokojono się trochę. Nie zwlekając ani chwili, Kiarszas wyruszył z Onufrym do dworu.

— Kiedy człowieka zacznie przesładować nieszczęście—prawił Dangialis, zwracając się do sąsiadów—to już zacznie; ot, choćby z Onufrym: latem grad pole zachwycił, zimą świren spalił się, a tu nowa bieda, arendarz powiada, że ich ekonom *nieciekaw* człowiek, może jeszcze i z pół rubla złupić.

— No, już i pół rubla!—ozwał się Wisławas, a Kiajtas z Głodówki dodał:

— Pół rubla—to taki grosz!.. Onufry przez całą drogę może wyda pół rubla, a może i nie..

W tymże czasie Kiarszas z Onufrym, zbliżając się do dworu, gwarzyli:

— Poszedłem z waspanem—mówił pierwszy—bo jeżeli to zły człowiek, może jeszcze złać;

eci, będące do odstąpienia, miały tydzień ży-
lecz takich było bardzo mało.

Nie dość tego, sądzę, iż nawet część dzieci
rzuconych przez matki na ulicach również
czy zaliczyć do tej samej kategorii, że i tu
czynią podrzucenia bywa nędza, nie zaś o-
wa hańby. Ież to znowu razy policja przy-
ymuje na ulicy starsze dzieci, błakające się
widocznie porzucone przez rodziców. I tu
niez przyczyna jest nędza. Dalej, wielu
padków podrzucenia trupów niemowląt na u-
ch miasta, przyczyną również jest nędza. Oto
rze dziecko, które się wprawdzie urodziło ze
ążku ślubnego, lecz jeszcze nie było wcią-
e do ksiąg ludności, rodzice zaś nie mają
duszków na opędzenie kosztów pogrzebu, pod-
cają więc trupa. Praktykuje się to dość czę-
w Łodzi, a prawdopodobnie i w Warszawie,
ż nędza wszędzie wywołuje jednakowe ob-
y.

liczba 47, przytoczona wyżej, nie obejmuje
cze wszystkich wypadków, w których rodzi-
muszeni nędzą, pozbywają się swych dzieci,
zem przekonały chyba czytelnika dotychczas-
e moje uwagi. Ale jeszcze jedna okoliczność
nguje tu na uwagę. Wszystkie te wypadki
yjątkiem dwóch, które miały miejsce w Ło-
zaszły w Warszawie. Czyż więc można
puszczyć, aby Warszawa była uprzywilejowa-
miejszem pozbywania się dzieci drogą po-
owywania dzieci osobom obcym. Z pewno-
podobne wypadki trafiają się i na prowinc-
lecz obywają się bez ogłoszeń, w samej
zta Warszawie część tranzakcyj, również do-
ywa się bez publikacji.

ależy zaznaczyć jeszcze jedną ważną oko-
ność. Każdy wie, jak lud nasz przywiązany
do religii i jak chce wychować dzieci w wy-
niu, do którego sam należy, a jednak zda-
y się wypadki, że ogłaszano, iż dziecko,
e chciano oddać na własność, jest jeszcze
chrzczone, czyli że rodzice, aby tylko ulżyć
e nędzy, a dziecku zapewnić życie, gotowi
nawet zezwolić na wychowanie dziecka
dmiennem wyznaniu.

łóżnaby się zapytać, dlaczego nie wszyscy
żce, zmuszeni nędzą do pozbycia się dzieci,
rzucają takowe lub pozostawiają bez opieki
ulicy. Oto lepsze żywioły proletaryjatu,
szone do wyrzeczenia się swego potomstwa,
mieć pewność, że dzieci ich nie zmarnieją,
ostaną się w ręce ludzi, którzy je wycho-

wają, rodzice zaś często w takim razie mogą
śledzić później za dalszym losem dziecka. Mo-
ralnie więc rodzice tacy stoją wyżej od takich,
którzy uciekają się do podrzucania.

Jaka ilość z tych 47 dzieci znalazła pomiesz-
czenie, określić nie mogę nawet w przybliżeniu.
Sądzę, że bardzo nieznaczna, a opieram się na
tym, iż podaż dzieci większą jest niż popyt na
nie, czego dowodzi rzadkość ogłoszeń, iż ktoś
chce przyjąć dziecko na własność.

Drugim objawem, który notowaliśmy, były
wypadki samobójstw z nędzy. Tu już cyfry
muszą być bardzo niedokładne i obejmować tyl-
ko bardzo małą część rzeczywistych wypadków,
gdyż sprawdzenie przyczyny samobójstwa jest
często rzeczą niezmiernie trudną, a cóż dopiero
takiej przyczyny, jak nędza. To też w rubry-
ce tej notowaliśmy tylko takie wypadki, co do
których protokoły policyjne jako przyczynę
targnięcia się życie podały wprost brak środ-
ków do życia. Wypadków takich było w r. z.,
począwszy od dnia 16 maja, w Warszawie 10,
w Łodzi 2 i w powiecie kozienickim 1, czyli
razem 13. Cyfra to pokaźna, a cóż dopiero,
gdybyśmy znali wszystkie wypadki. Jeśli w Lon-
dynie w ciągu roku umiera z głodu około 30
osób, to gdy w Warszawie z obawy tegoż gło-
du odbiera sobie życie kilkunastu ludzi, sądzę,
iż fakt taki wskazuje, że pauperyzm syreniego
grodu nie pozostaje w tyle poza londyńskim.
Dziesięć osób odbierających sobie życie z nędzy
w ciągu niecałego roku, to straszne!

A. Wisniewski.

Filantropija w Londynie.

II. Kolonija uniwersytecka we Wschodnim Londynie.

Ocena działalności filantropijnej musi przede-
wszystkiem uwzględnić stopę etyczną zasady, w
imię której działalność ta powstała i rozwija się.
Da się to zwłaszcza zastosować do tych insty-
tucyj filantropijnych, które nie tyle są wyrazem
humanitarnych popędów jednostek, ile wynikiem
bardziej powszechnych i ważnych braków w mię-
dzyklasowych stosunkach społeczeństwa. Tu cho-
dzi już nie tylko o to, jak wielką korzyść fak-
tyczną może zapewnić palatywa filantropijna,
lecz bardziej jeszcze o horyzonty jakie się przed

nim otwierają dzięki naczelnej zasadzie. Cho-
dzi o to, czy funkcja jego jest chwilową i prze-
mijającą, czy też przeciwnie — wraz z postępem
wypadków, będzie mogła pozbyć się przygodnego
charakteru dobroczynności i jeszcze bardziej
rozszerzyć swe wpływy w myśl nowych sto-
sunków.

Stanowi to o żywotności instytucji i o miej-
scu, jakie się jej należy w szeregu czynników
tamujących lub torujących drogi społecznego
postępu.

Widzieliśmy już jakie widome wpływy i za-
sady powołały do życia Pałac ludowy. Nie uj-
mując mu bynajmniej faktycznych, doraźnych za-
let, możemy przecież zaznaczyć, że ani jego po-
etycko-ekcentryczne powstanie od lordów i poe-
ty, ani etyczny poziom, ani wreszcie zakres dzia-
łalności — nie świadczą o zbyt wygórowanem
znaczeniu dla przyszłości.

Lecz prąd kulturalny ogarniający coraz sil-
niej współczesną Anglię, nie poprzestał na Pa-
lacu ludowym. W tym samym mniej więcej
czasie i na tle tej że sceneryi Wschodniego Lon-
dynu powołał on do życia inną instytucję wzra-
stającą i potężniejszą z niezmierną szybkością,
pod nazwą „Kolonii uniwersyteckiej.” Zacięka-
wia już samo brzmienie jej tytułu. Trudno na
razie zdobyć się na przybliżone określenie fun-
kcji, jakie może spełniać instytucja taka i, isto-
tnie, jest ona w równym stopniu podatną do
rozwoju i rozszerzania się, jak sam ów nauko-
wo-młodzieńczy pierwiastek, który stał się [zró-
dłem jej inicjatywy i działalności. Jeżeli za
najbliższą przyczynę powstania Pałacu ludowe-
go mogliśmy uważać fantazyję poety i dobrotli-
wość lepszych jednostek arystokracji angielskiej,
to „Kolonija uniwersytecka” jest tworem myśli
i uczuć przenikających obecnie sfery intelligen-
tne Anglii.

Widoma siedziba „Kolonii uniwersyteckiej” za-
łożona w Whitechapel, najokropniejszej dziel-
nicy Wschodniego Londynu — nosi nazwę *Toynbee Hall* — Hali *Toynbee*'go. Musimy się co-
fnąć do czasów, kiedy kolonija była reprezento-
waną tylko przez dobre chęci i szlachetne za-
miary *Toynbee*'go, po którym odziedziczyła na-
zwę i myśl przewodnią.

Jak by dla większego kontrastu z inicjato-
rami Pałacu ludowego *Arnold Toynbee* jest czło-
wiekiem biednym i od pierwszych lat młodości
krocącym przebojem wśród ciężkich życiowych
warunków. Zdobywa stopniowo wiedzę i staje

to nie, pomilczę i tyle... a gdyby tak Wi-
as poszedł, jak chciał, nie zamilczałby i go-
y zrobił...

Łajanie człek ścierpi — rzekł zciha Onu-
żeby tylko nie zdarł... I tak już rozmaicie
kowałem: i arenda nie zapłacona, i soli ani
i, i *podusznych* trochę zostało...

Z arendą mniejsza. Wójtowi jakoby pan
adał, żeby zaczekać do jesieni... Ot, przed-
ek za plecami.

U nas po tym gradzie całą zimę jest przed-
ek; wszak niema co Bogu grzeszyć, dosta-
trochę żyta we dworze i waspan poży-
ś pół beczki; jakoś człek *przeleje*, ale w
ni, jak oddasz — znowu nic!...

Co tam śpieszyc! — mruknął Kiarszas — i pan
zoka i ja zaczekam, a potem, potroszę po-
isz się.

ak gwarząc, weszli na dworski dziedziniec,
ęli czapki i czekali. Minęło pół godziny.
Dobrowicz siedział przy stole i nie widział przy-
yich. Zaledwo ich spostrzegł, wyraz dzikiego
owolenia zaigrał na jego twarzy: zerwał się,
biegł i swym zwyczajem tygrysie oczy wbił
żrenice przybyłych. Kiarszas drgnął, jak
ca wobec wilka, i błędny wzrok spuścił ku
emi, Minkialis zbladł, lecz nie stracił spokoju,
lżył się i zaczął opowiadać, jak się wszystko
ło.

— Łziecie chamy! — huknął Dobrowicz — a zkad
teście?

— Z dymiańskiej parafii.

— A czyście poddani?

— Pana Jeleńskiego — rzekli — kłaniając się.

— Hm... zgrzytnął i w jednej chwili stał się
straszonym.

Minkialis, patrząc na dziką twarz, jał w myśli
szepać: „Pod Twoją obronę”...

Przyczyna gniewu Dobrowicza była bardzo
naturalna: widział przed sobą dwóch chłopów
rządkich, nieskaleczonych, nie ołachmanionych,
nie drzących... widział świeżą zwierzynę, miał
ją w swych łapach... mógł zbić nahajką, ile się
podoba, zedrzeć, ile się da; wtem — jeden wyraz:
Jeleńskiego — i nadzieje pierzchły. Słyszał o nim
nie mało! Był to chłopoman zacięty, skasował
w swych dobrach pańszczyznę, wymyślił chłop-
skie szkoły, polubowny sąd i lieho wie co
wreszcie... Skrzywdzić chłopów takiego wary-
jata, całe życie będzie cię prześladował.

Tygrys stanął wobec słabych cieląt, ostrzy-
kły, bije ogonem, wtem z za krzaku ukazuje
się ogromna głowa żubra i wściekle zwierzę
musi cofnąć się.

— Precz! — krzyknął wściekle Dobrowicz —
precz łotry! Cudze zboża wypasać!...

Rzucił się z ganku, dosiadł konia i popędził
w pole. Jakiś mizerny parobczak rzekł do
zmieszanych chłopów, że pan rzadca wróci chy-
ba wieczorem.

Dopiero zmiarkowali, że sprawa tu niełatwa;
opuścili głowy i z rozwianymi włosami stali, jak
zakłęci. Wtem, otwarły się drzwi, i pod dozo-
rem zgarbionej staruszki wybiegło na ganek

dwóch chłopaków. Stanęli i dużemi oczkami
wpatrzyli się w podróżnych, ci także podnieśli
wzrok; chwil kilka trwała obserwacja, poczem
Jacek rzekł:

— Papo wyjechał, czy wam czego trzeba?

Onufry poważnie, jak gdyby rozmawiał ze
starcem, wyłożył całą sprawę.

— Twój koń w stajni!... Ignacy chodź tul!...

Przybiegł parobczak.

— Oddaj zaraz konia temu człowiekowi — pis-
nął swym cienkim głosikiem, a duże oczy zai-
skrzyły się, jak niebo podczas zorzy.

— Nie wolno! — zawołał starszy, połykując
czarnymi brylantami — papa zagniewa się.

— Stajnia, paniczowie, zamknięta i klucz u
pana — objaśnił Ignacy.

— Jedź zaraz do papy! — niecierpliwil się Ja-
cek, lecz starszy porwał go za rękę i ciągnąc
do pokoju, wołał:

— Papo nie pozwala tobie z chłopami gadać,
bo ty mały jesteś i nie rozumiesz, tylko
mnie wolno.

Jacek spierał się, wołał Ignacego, aż piastun-
ka wzięła go na ręce i wniosła do pokoju.

— Mocny Boże — szepnął Onufry do sąsiada —
zkał u niego takie mądre dziecko?...

Wtem przybiegł Ignacy, kazał zaraz odejść
i nieprzychodź do wieczora, bo pan, jak dowie
się, że z dziećmi gadali, jeszcze gorszy będzie.
Westchnęli i strapieni odeszli.

wreszcie na szczycie swych marzeń o karyerze osobistej, zajmując posadę wykładowca (ordaz prywat - docenta) w uniwersytecie Oxfordzkim. Toynbee studiował historję i ekonomiczną politykę, a sympatyje i rodzaj zajęć (wykłady z ekonomii politycznej wobec studentów z kolonii indyjskiej) orzekły ostatecznie o jego dalszej działalności. Z pośród wielu ładnych i sympatycznych rysów, jakimi szkiecują postać Toynbee'go musimy wyjąć te tylko, które ułatwiają nam później zrozumienie tendencji kolonii uniwersyteckiej. Arnold Toynbee jest ciekawym typem, symbolizującym niejako w sobie dzisiejszą demokrację i uspołecznienie się wiedzy, których sam był gorącym apostołem. Umysłowość jego niewybiegała wysoko po nad poziomy, lecz przenikniętą była nawskroś jakimś ciepłem serdecznym i tem, co by można nazwać krytycyzmem uczucia. Te czynniki skierowały go na najwłaściwsze tory badań ekonomicznych i uchroniły szczęśliwie od wyzbiegającego wpływu częściej i „objektywnej” dyalektyki. Kierunek jego poglądów najlepiej zresztą uwidacznia wyjątek z wykładów, które miewał wobec przyszłych działaczy Indji. „Świat cały stoi na różnych szczeblach rozwoju, stosownie do różnych gałęzi pracy, różnic czasu i miejsca. Tymczasem ekonomija polityczna (manchesterska) stawiała swe tezy, jak gdyby nie wiedząc nic o tych różnicach. Mówiła o zasadzie „największego bogactwa”, która bynajmniej nie w jednakowym stopniu odpowiada interesom klas różnych i daje życie kolosalnej jednostronności rozwoju istniejącego przemysłu. Mówiła o produkcji i gromadzeniu bogactw, nie myśląc o ich podziale. Mówiła o doniosłości wolnej pracy i o nienaruszalności umowy, zapominając o tych warunkach, które faktycznie znoszą wolność wyboru i najczęściej robotnikowi pozostawiają swobodę w jednej tylko dziedzinie — w dziedzinie głodu.” „Stara szkoła ekonomiczna mówiła o niebezpieczeństwach, płynących z wtrącania się państwa w sfery ekonomiczne—nowa uczy: jak i kiedy państwo ma się do nich mieszać.”

Te ustępy w dostatecznej mierze charakteryzują fizjonomiję duchową Arnolda Toynbee; nie trudno domyślić się, jaką mogła być jego działalność.

Toynbee miał dwie drogi do wyboru — obie odpowiadające jego naukowemu poglądom, lecz nie w jednym stopniu przypadające do jego na-

tury; wybrał tę, która jest pewnym rodzajem misyjonerstwa pokojowego.

Praca umysłowa Toynbee'go całkowicie skierowaną była na zbadanie wszechstronne życia ludu—studiował prawodawstwo o ubogich, prawodawstwo fabryczne, prawo zarobków itd. Wyniki swych prac na tym polu szczepił wśród słuchaczy uniwersytetu Oxfordzkiego.

Nie wyczerpywało to jednak jego działalności, Toynbee sądził, iż dla skutecznego przeprowadzenia tendencji nauki współczesnej nie wystarczy ich popularyzowanie i, że należy po za tem spełniać dwustronną misję obyczajową. W myśl tego poglądu zjednywał sobie zwolenników wśród młodzieży oraz sam znaczną część roku spędzał w Whitechapel, w bezpośredniej styczności z ludnością robotniczą. Tutaj sfera czynności jego była tak różnorodną, jak same potrzeby warstwy, do której się zbliżał. Wstępował do klubów robotniczych, wykladał, i pomagał im w pracy—słowem żył prawie ich życiem. W Oxfordzie, prócz wykładów, którym poświęcała myśl trafna i humanitarna, podjął inne jeszcze zadanie—zadanie demokracji obyczajów grupy swych studentów, pochodzących przeważnie ze sfer arystokracji angielskiej.

Ta strona działalności Toynbee'go zrozumiałszą się stanie przez zestawienie z postacią uczonego Ruskina, który był do pewnego stopnia jego mistrzem. Znacomity uczone również „nie nawidził konkurencji” i szukał nowych dróg dla biegu spraw ekonomicznych. Najrozmaitsze przyczyny wpłynęły na to, iż Ruskin w dziedzinie ekonomicznej wyróżnił pierwiastek etyczny i na miejsce t. zw. „motyów ekonomicznych” starał się postawić „prawa miłości.”

Ciekawym jest fakt, że Ruskin sam był istotnie szczerym adeptem swych poglądów i na cele dobroczynne rozdał cały swój majątek dziedziczny, wynoszący przeszło 1½ mil. rs. Nie zraziło go to jednak do dalszych eksperymentów; sądził tylko, że sama pomoc pieniężna nie może wyczerpać działalności filantropijnej i rozszerzał ją, służąc sprawie własną osobą.

Trudno odmówić pewnego powabu, jaki ta strona współczesnych zadań społecznych przedstawia dla natur o bardziej rozwiniętym zmyśle moralnym i o temperamencie pokojowym. Arnold Toynbee stał się jednym z najzariwsiwych zwolenników Ruskina, a ten znowu wyróżnił prędko Toynbee'go z pośród wielu innych. Profesor i docent umieli ośwadczyć swemi słu-

chaczami i oto wkrótce wśród studenteryi angielskiej, nawykłej do sportu, poczęła się rozwijać prąd demokratyczno-obyczajowy; za charakterystyczną jego cechą należy uważać to, że miał na widoku nie tyle własne osoby demokratyzujących się, ile warstwy, w imię których się wszczął. Nie szło więc młodzieży uniwersyteckiej o demokrację form swego zachowania się, lecz o skierowanie *działalności* w kierunku wszelkich potrzeb ludowych. Ruskin i Toynbee prowadzili swą pracę rozszerzając coraz jej zakres.

Pierwszymi krokami były roboty dokonane przez studentów pod bezpośrednim dozorem profesora i docenta: naprawiano drogi i chaty, pomagano w gospodarce. Z biegiem czasu jednak tego rodzaju zajęcia, które były niejako studjami przedwstępniemi dla oxfordzkiej młodzieży, zaniechane zostały dla prac poważniejszych.

Wykłady Ruskina i odczyty Toynbee'go ścigały mnóstwo ludzi, zwiększyły się środki i stopniowo rozwijała się bardziej produkcyjna działalność. Wielu studentów przesiedliło się zupełnie do Whitechapel za przykładem Toynbee'go; inni łączyli się w grupy, mające na celu pomoc i oświatę klasy robotniczej. Doniosłość tego ruchu stanie się bardziej zrozumiałą, gdy przypomnimy, iż większość słuchaczy Ruskina i Toynbee'go pochodziła z rodzin arystokratycznych, do których prądy współczesne nie mogły przeniknąć w żadnej innej postaci i, że studenci ci stanowią kadry przyszłych urzędników państwowych i prawodawców.

Powodzenie misyjonerstwa działalności zapalało Toynbee'go. Przejmował się coraz bardziej swem posłannictwem i marzył o pokojowym rozwiązaniu zagadnień społecznych. W wykładach swych coraz częściej powracał do ulubionego tematu o braterstwie i poświęceniu. A swój własny zapał i szczerą oddanie się grupy swych współwyznawców brał niemal za wyraz stosunków klasowych.

To przecenienie swej roli, płynące zresztą z najsłabiej pobudek, było przyczyną śmierci Toynbee'go. O ile płynąc z falą współczesnego postępu starał się wypełniać tylko swoje humanitarne posłannictwo, o tyle działalność jego była płodną w następstwa i korzystną. Ale kiedy zamierzył swoją metodę postawić jako środek uniwersalny—musiał się spotkać z przeszkodą i rozbić się o nią.

W 1883 r. Toynbee wystąpił wobec licznego a różnorodnego audytorjum robotników z krytyką

W obozie, gdy się dowiedziano, jak stoją sprawy, tu i ówdzie rozległy się złorzeczenia: wkrótce możnaby zaprzęgać i jechać, a tu czekaj: bodajby go święta ziemia nie nosiła...

Minkialis mitygował sąsiadów.

— Bracia! niech mu Bóg przebaczy; przeklinać, grzech śmiertelny...

— A co to, waspan!—oburzyli się niektórzy—może za jego zdrowie Pana Boga prosić? czterdzieści furmanek musi stać na drodze, a waspan gadasz...

— Chrystus powiada...

Co tam Chrystus powiada!—krzyknął Wisławas—Chrystus siemienia do Rygi nie wozil, a rendy nie płacił...

— *Durnias!*—rozległ się ryk Dangialisa—za obrazę boskiego majestatu, jak cię *gwiznę*, kości nie pozbierasz.

— A hołobla od czego?—mruknął złajany, lecz dlatego tylko, by nie zmilczeć—i usunął się.

Godziny, jak na złość, wlekły się powoli. Z początku Wisławas żartował, nadrabiał minę, lecz i ten w końcu spoważniał: gdzieby już można był a tu stój i czekaj, nie wiadomo do jakiego czasu...

Jak tylko słońce zaczęło chylić się do widnokręgu, Dangialis pociągnął Onufrego za rękaw:

— Pójdźmy, bracie!

Kiarszas zaprotestował.

— Byłem raz, pójdę i drugi; waspan niecier-

pliwy jesteś, palniesz jakieś nieostrożne słowo—i gorzej zepsujesz.

Dangialis mruknął niechętnie, lecz pozostał.

...I znowu sąsiedzi stali przed gankiem z nie-nakrytymi głowami. Już *dobrze* ściemniało, gdy wrócił Dobrowicz. Wyszedł i, szczerząc wielkie, białe kły, wykrzyknął:

— Co tu po nocach włóczycie się! Kraść łotry chcecie?... Przychodźcie jutro rano i przynościście trzy ruble, rozumiecie!

Minkialisowi w oczach pociemniało.

— Wielmożny panie, u mnie głód i nędza w domu; za czterdzieści mil podróży ledwo siedem dostanę—wspomnij wielmożny pan na Boga.

— Precz, złodzieju!... Ignacy, spuść psy... a każ pilnować, żeby ci łotry nie wyprowadzili konia... Trzy ruble!—rzekł i zatrzasnął drzwi.

— Uciekajcie—szepnął chłopak, przebiegając koło nich—raz jednego żebraka psy na śmierć zajadły.

Podróźni oddalili się spiesźnie.

Dobrowicz zasiadł do wieczerzy i kazał przywołać dzieci. Całował je, uśmiechał się, opowiadał—gdzie był, co robił; tygrysie pazury znikły zupełnie.

— Papo—rzekł poważnie Jacek—czy oddałeś podróźnemu konia?

Dobrowicz na chwilę zmarszczył się:

— A z kąd ci, Jacusiu, wiadomo o koniu?

— Wyszliśmy na ganek, a chłopci stoją... czy oddałeś konia?...

— Dziś późno, oddam jutro rano. W nocy przecie nie pojedą, a koniowi w stajni jeszcze lepiej.

Chłopak uspokoił się.

O północy, gdy Dobrowicz spał snem niewinnych i spracowanych, ktoś go pociągnął za rękę. Wskoczył, przetarł oczy: przy łóżku stał Jacek.

— Co to znaczy, Jacusiu?...

— Papo—szepnęło dziecię—mama prosiła, żebyś wraz oddał konia.

— Jaka mama! co ty gadasz?

— Mama... nasza mama! Przychodziła w białej sukni i kazała, żebyś w tej chwili oddał konia, bo Pan Bóg gniewa się.

Dobrowiczowi ciarki przeszły po skórze. W istocie zdało się mu, że w ciemnym pokoju coś miga. Porwał Jacka i zawołał: Ignacy!...

Wbiegł zaspany parobczak.

— Zapal światło i ubierz się.

Gdy chłopak zapalił świecę, Dobrowicz uspokoił syna i ułożył go do snu.

Parobczak, już odziany, stał u progu.

— Hm... odesłać konia—pomyślał rzadca—a trzy ruble? Dziecko... zwykle dziecko... chamy nastraszyli je i bredzi. Idz spać—rzekł do parobka i zgasił świecę.

(d. c. n.)

Brolis.

poglądów H. George'a. Pierwszy wykład, w którym prelegent zaznaczył różnicę swoich zapatrywań, wywołał zamieszanie i pewna część robotników przyjęła go wrogo. Musiało to wpłynąć na extatyczną naturę Toynbee'go przynębiająco. Przez długi czas nie mógł przyjąć do siebie. Na drugim wykładzie powtórzyło się to samo i Toynbee załbał ostatecznie, a wkrótce potem umarł nie wychodząc prawie przed śmiercią ze stanu bolesnej extazy.

Zgon Toynbee'go był granicznym punktem, ostrzegającym jakich krańców może sięgnąć posłannictwo humanitarne, a gdzie się musi rozbić o nieusunięte jeszcze przegrody. I jeśli instytucja powstała po śmierci Toynbee'go, potrafi to zrozumieć, będzie to niejako ostatnim, posmiertnym darem szlachetnej natury przedwczesnego siewcy miłości powszechnej.

Działalność Toynbee'go zrobiła to, ku czemu była skierowaną początkowo, rozbudziła wśród inteligencji i młodzieży oxfordzkiej ruch demokratyczny i masy sił nieprodukcyjnych przedtem—skierowała do pracy.

Staraliśmy się, kreśląc sylwetkę Toynbee'go, scharakteryzować pierwotne źródło tej pracy. Toynbee i jego zasady są niejako wytyczną wskazującą kierunek rozwijającej się instytucji „Kolonii uniwersyteckiej.” Sama jednak „Kolonija” postąpiła już znacznie dalej i teraz należy poznać jej fizjognomię dzisiejszą.

(d. n.)
A. P. Ordyński.

Spółczesny artyzm literacki.

Epokę naszą charakteryzują najbardziej krańcowe sprzeczności: we wszystkich sferach życia potrzeby warstw dotychczas izolowanych, potrzeby społecznego konserwatyzmu i wymagania stopniowości rozwoju spotykają się ze sobą, wytwarzając moc kwestyj społecznych, których rozstrzygnięcie rozpocząć ma nową epokę dziejów ludzkości. Stan ten nie może nie odbijać się na piśmiennictwie. W niem bowiem znajduje wyraz wszystko to, co jest odczuciem lub zrozumieniem prądów, nurtujących społeczeństwo. Dwa z nich szczególnie wybitnie cechują psychologię naszych czasów. Jeden—to dążności demokratyczne, które wywalczywszy sobie niezależne stanowisko, stopniowo przeniknęły we wszystkie dziedziny stosunków ludzkich, drugi—to rozwój sztuki i nauki, unoszący myśl coraz to wyżej, coraz to dalej od powszedniości i prostoty.

Dwa te prądy są ze sobą w jak najostrejszej sprzeczności: gdy bowiem pierwszy rozwija się na tle dążności społecznych, drugi czerpie soki żywotne w nadmiarze indywidualizmu; gdy pierwszy ma na względzie dobro ogółu, drugi—zaspokojenie indywidualnych gustów; gdy pierwszy zwraca swe współczucie ku nędzy i rozpacz, drugi—ku pięknu i rozkoszy. I im głośniej przemawia pierwszy, im goręcej broni swego bytu, tym głośniej przemawia drugi, tem rozpaczniej ubolewa lub miota się na nieodpowiedniość pomiędzy swymi wysoce kulturalnymi potrzebami a brutalstwem warunków społecznych. Dwóm tym prądom odpowiadają dwa kierunki literackie: piśmiennictwo ludowe, dla ludu i o ludzie, jako najjaskrawszy wyraz prądu demokratycznego, dalej cała beletrystyka naturalistyczna i realistyczna, pewne echa zamierzającego już romantyzmu—wszystko to stanowi kierunek, odpowiadający prądowi społecznemu—demokratycznemu.

Kierunek literacki, odpowiadający prądowi wysoce rozwiniętej sztuki, nazwać można artystycznym: obejmuje on mnóstwo objawów, które nie łatwo nadają się do ścisłej klasyfikacji. Zaliczyć tutaj jednak można cały romans psychologiczny i rodzaj, o którym właśnie zamierzamy mówić. Dla charakterystyki przedstawieli tego kierunku przytoczymy słowa krytyka francuzkiego Spronk'a:

— „Pod wyrazem *artysta-literat* rozumiemy człowieka, który w pisaniu słowie, zarówno dla siebie, jak dla czytelnika, widzi nie środek, ale cel; nie drogę osiągnięcia sposobem mniej lub więcej estetycznym jednego z niezłomnych ideałów, które ogarnąć może umysł ludzki, ale bezpośrednio i ostatecznie urzeczywistnienie idei pięk-

na, tkwiącej w każdym z nas... jednym słowem człowieka, który przyswaja sobie zasadę, dziś może przestarzałą i często potępioną, dzięki niezrozumieniu jej, zasadę: sztuka dla sztuki”.

Zasada to, jak słusznie zaznacza cytowany autor, nie nowa. Zachodzi więc pytanie, co dzisiaj nadaje jej cechę współczesności, czem treść jej dzisiejsza różni się od treści dawniejszej epoki romantyzmu?

Różnica polega na tem, że kiedy romantyzm dążył do uniezależnienia sztuki od wymagań ciasnego klasycyzmu, mieszczańskiej etyki i prozaicznej logiki, poezycja społeczna, zdobywszy już to wszystko, domaga się teraz uniezależnienia od wszystkiego z wyjątkiem pięknej formy. To pragnienie niezależności dochodzi do propagandy zupełnej bezsensowności.

— Nie ma w tem ani żadnej myśli, ani żadnej zasady ludzkiej, ani logiki, ani prawdy—mówi Emil Zola o Teofilu Gautier.

Naiwną odpowiedź daje pewien młody „instrumentalista” Sully-Prudhomme'owi na jego uwagę:

— Staram się zrozumieć to, co chcecie zrobić. Zwracacie uwagę tylko na muzyczną wartość wyrazów, bez względu na ich treść.

— Przeciwnie, do pewnego stopnia uwzględniamy interes.

Gustaw Flaubert pewnego razu ze względów czysto fonetycznych, na co, jak wiadomo, był niezmiernie czuły, (ośm dni sadywał nad jedną stronicą, ażeby poprawić chropowatość stylu), zmienił w jakimś zdaniu wyrazy w ten sposób, że straciło ono zupełnie znaczenie wewnętrzne.

Na zrobioną przez kogoś—odpowiada:

— „Tym gorzej dla sensu, rytm przedewszystkiem”.

Znany krytyk Jules Lemaitre robi usiłowanie zrozumienia wybryków symbolizmu. Zabiera się do tej pracy z silnym postanowieniem przewyciężenia piętrzących się trudności, cofa się kilkakrotnie i powraca do swej syzyfowej pracy.

— „A więc nie, mówi między innymi, nie będę o nich mówił, ponieważ nic nie rozumiem i nudzą mnie... Nie mogę zrozumieć tego szeregu zgłosek, które, będąc połączone ze sobą według praw składni, zdają się zawierać w sobie sens, którego w rzeczywistości są pozbawione i złośliwie utrzymują umysł natężony w próżni, jak szarada, której wyraz nie istnieje wcale”.

Jest to kilka zaledwie przykładów z tysiąca, i, jak widzimy z nich, sztuka dla sztuki nie jest dzisiaj tem domaganiem się swobody, które jeszcze często słyszymy w Niemczech (np. w organie Bleibtreu'a „Die Gesellschaft” w przeszłym roku artykuł Konrada Alberti „Bourgeoisie und Kunst”), nie jest to przeciwstawienie szlachetnych i głębokich uczuć poziomemu i płytkiemu filisterstwu, jest to po prostu dążenie do zamknięcia poezji w sferze wrażeń przeważnie zmysłowych, zrobienia treści możliwie niezwykłą, nieznaną, nadzwyczajną.

Rzadko jednak który z przedstawicieli tego kierunku artystycznego potrafi konsekwentnie utrzymać się na stanowisku swych teoryj. Uczucia ludzkie są siłą zbyt realną, ażeby można było zgwałcić je stanowczo i na zawsze: wydostają się one na wierzch, rodząc często prawdziwe perły poezji. Nie przeszkadza to jednak rozwojowi całej literatury, której treść stanowią potworności, nieprawdopodobieństwa lub cudowności, a piękno zawarte jest tylko w formie.

Zwyczajne warunki życia, znane nam objawy natury, normalne uczucia ustępują miejsca śpiewającym łabędziom, płaczącym krokodylom, sugestjom myślowym z odległości, odbiciom na rogowie ostatniego przedśmiertnego widoku, mrużeniu powieki ściętej głowy, tajemniczym zjawiskom spirytyzmu, uzmysłowieniom duchów, najbardziej oderwanym pojęciom; wszystkim możliwym formom szału erotycznego, zdarzeniom epoki przedhistorycznej. Tematy takie poruszają: Villiers de l'Isle Adam, Barbey d'Aureville, Paul Adam (powieści pod tytułem: *Soi Etre*), Poitevin, Peladan, Barrès, Rosny (*Le septième sens, Les scènes préhistoriques*).

Tak wygląda spółczesny artyzm w literaturze, urzeczywistnienie idei: sztuka dla sztuki. Artyzm ten jest objawem potrzeby wrażeń niezwykłych, potrzeby czegoś nowego, choćby miał to być fałsz nawet, czegoś drażniącego, ale drażniącego miękko, estetycznie, raczej łechcącego,

niż uderzającego. Spółczesny artyzm w literaturze jest objawem przeżycia, zblazowania. Wszystko już było widziane i powiedziane, wszystkośmy już przeżyli, przemyśleli, przemarzyli i pragniemy teraz czegoś nowego; w zwykłej zaś kolei życia nie ma już dla nas tajemnic.

Mówi się o tem już oddawna.

Jeszcze Labruyère zaczynał swój traktat o charakterach od słów:

— Wszystko już powiedziano i więcej, niż od siedmiu tysięcy lat przychodzimy na świat zapóźno od czasu, jak są ludzie i myślarze.

Musset rozpacza, żeśmy przyszli zbyt późno na ten świat zbyt stary, bo cóż nowego jeszcze czuć będziemy mogli.

Goethe oryginalność widzi tylko w formie, w wypowiedaniu starych rzeczy tak, jak gdyby nigdy jeszcze nie były wypowiedziane.

Spółczesny zaś Guy de Maupassant mówi:

— Trzeba być szalencem, aby dziś pisać jeszcze. Po tylu mistrzach, co pozostaje do zrobienia i powiedzenia? Kto z nas może się pochwalić, że napisał jedną stronicę, jedno zdanie, któreby już nie było kiedyś gdziekolwiek napisane w podobnych niemal słowach?... Dwadzieścia wierszy, dwadzieścia zdań, czytanych nagle, budzą w nas elektryczność nowego objawienia, ale dalsze wiersze są podobne do wszystkich wierszy, dalsza proza podobna jest do wszystkiej innej prozy.

Fakt istnienia tego piśmiennictwa artystycznego, w epoce, dziedziczącej owoce myśli, dzieła sztuki więcej niż trzydziestu wieków cywilizacji ludzkiej ze stanowiska psychologii społecznej—jest zupełnie usprawiedliwiony. Nie jest to nielogicznością rozwoju, nie jest to zбочeniem umysłu kilku jednostek—jest wynikiem nadmiaru kultury, nadmiaru świadomości, wynikiem wieku naszej cywilizacji.

Przeżycie skłania nas do szukania coraz to nowych wrażeń, których, naprózno, szukalibyśmy w normalnych warunkach życia. Uciekamy się więc do nieznanych, przeczuwanych zaledwie tajemnic, a przedewszystkiem do pięknej formy, coraz to nowszej—coraz to wyszukaniejszej.

— Chciałbym—mówi de Banville, aby poeta nie miał żadnego mistrza, okrom swego delikatnego ucha, wysubtelniejszego przez pieczętliwie dźwięki muzyki.

Albo Teofil Gautier, ten mistrz formy, który zachowuje zupełną obojętność wobec cierpień i namiętności, nie okrytych wspaniałą, imponującą formą tragedii greckiej, lub wielkiego bohater-skiego dramatu, który w swych licznych podróżkach widzi zawsze tylko wspaniałe barwy i linije, a nigdzie ludzi i ich cierpień; dla którego w świecie istnieje tylko plastyka, stanowiąca dlań ideał w poezji.

Literatura to—bezsilna, bezpłodna, zwyrodniała. Ale, niestety, obok piśmiennictwa ludowego jest to jedyny rodzaj, który dziś jeszcze zajmować może. Cała literatura mieszczańska, którą nasi czytelnicy przeważnie się karmią, jest przeżuwaniem starych, wytartych komunałów, ciasnych, egoistycznych dążeń, bezbarwnych konwansowych stosunków i płytkiego moralu, którym najczęściej brak nawet pięknej formy. Mieszczaństwo może stworzyć przemysł i handel, odpowiednią do nich etykę, ale w piśmiennictwie dało życie tylko suchotniczej tendencyjnej powieści i teatrowi (Ohnet, Claretie, u nas dawniejsze powieści Orzeszkowej, Bałuckiego). Sztuka więc, nie mając zład czerpać soków żywotnych, musiała uciec z tej zabójczej sfery, znajdując dla siebie odpowiednią atmosferę z jednej strony w szerokich, szczyrych uczuciach i stosunkach ludu, z drugiej zaś w wykwintnem, a zarazem ostrem drażnieniu się nadzwyczajnością treści i formy.

O ile na pierwszej drodze zacerpnięta poczucie siły i wiary w przyszłość, o tyle na drugiej wpadła w pesymizm, jako naturalny wynik poczucia bezpłodności i zgrzybiałości. Pesymizm ten szczególnie w artystycznej literaturze francuzkiej przenika wszystkie utwory przedstawicieli tego kierunku. Gautier, Baudelaire, Stendhal, Leconte de Lisle, Flaubert, bracia Goncourt'owie, wszyscy symboliści i dekadenci, cały Parnas, przesiąknięty jest zniechęceniem, żalem i rozpaczą.

Pesymizm to przytem francuzki, różniący się od innych tem właśnie, że jest czysto literackim. Pesymizm bowiem słowiański jest natury spo-

lecznej (romanse Dostojewskiego), germański—metafizycznej (choroba wieku Nordau'a), romański zaś jest najbardziej samoistnym, psychologicznym i Bourget słusznie nazywa go newrozą; pochodzi on nie z warunków życiowych, nie z treści myśli, ale raczej ze sposobu, z metody myślenia. Najlepiej uwidoczni się to z poniższego wyznania T. Gautier'a, które pozwolę sobie przytoczyć w całości prawie.

„Czyż nie jest to szczególnie, że ja, który znajduję się jeszcze w epoce najbardziej porannej młodości, który nie nadużywałem jeszcze niczego, a nawet nie użyłem jeszcze rzeczy najprostszych, doszedłem do tego stopnia zblazowania, że zajmuję mnie tylko dziwaczność i trudność. Jestem, jak sześciomiesięczne dziecko, które znajdowałoby pokarm swej mamki nudnym, a pragnęło tylko wódki, jestem zmęczony tak, jak gdybym przeżył wszystkie wymyślne orgie Sardanapala, a jednak życie moje było niewinne i spokojne na pozór; błędem jest przypuszczenie, że posiadanie tylko prowadzi do przesytu. Dochodzi się do niego także przez pragnienie, a wstrzemięźliwość zażywa więcej, niż nadużycie. Potrzeba by mi było stu tysięcy wieków nicości, ażebym wypoczął po zmęczeniu tych lat dwudziestu...”

Tak rodzi się pesymizm francuzów, a jego pragnienia i dążności streścił najdosadniej Baudelaire w zakończeniu wiersza p. t. „Podróż.”

O śmierci, stary wodzu! Czas, ukończ nasz

[lament
Odplyńmy! Tu się nudzim! Pragniemy ni-
[cości!]

Jeśli niebo i ziemia czarne, jak atrament,
Nasze serca, ty znasz je, pełne są światłości.
Wzmocnij nam swą trucizną naszą duszę

[biedną,
Chcemy iść, tak nam płonie mózg od ognia

[twego;
W przepaść Niebios czy Piekieł — to nam

[wszystko jedno!

Byle tam w Niewiadomej ujrzeć coś nowego!

Jest to właściwie nie pesymizm, ale newroza, jest zatem czemś organicznym, a więc, powiedzcież można, nieuleczalnym, gdy tymczasem pesymizm germański i słowiański są objawem choroby funkcjonalnej, możliwej do usunięcia ze zmianą przekonań lub warunków życiowych.

Nie newroza jednak stanowi cechę najbardziej charakterystyczną społecznego kierunku literackiego. Stanowi go nadzwyczajność, sztuczność, wykuint formy i treści. Kierunek ten ma i swoich teoretyków, którzy opierając się na danych psychologii doświadczalnej (Spencer, Féré) starają się dowieść, że tylko zasada sztuki dla sztuki w szerszym (Arréat) lub węższym (Spronck) znaczeniu ma rację bytu, jako teoria literacka. Zwalczają oni twierdzenia przeciwników, jak W. Hugo, mówiącego wiele o apostołstwie poezji, Dumasa, dowodzącego, że teatr winien moralnie oddziaływać; Zolę, który w poezji chce widzieć prawdę i ideę; Guyau dla którego piękno jest w ruchach celowych — w pracy i t. d. Może z tej walki wyniknie odrodzenie piśmiennictwa, ale wątpliwe.

[Odrodzenie (mówię tu wyłącznie o kierunku literackim) przyjść może tylko od człowieka samego, teorie nie wiele będą tu pomocne. Ale czy ten człowiek kulturalny, w którego mózgu tkwi cała przeszłość (zaznaczyć muszę, że na to nie potrzeba wielkiej wiedzy), ten człowiek społeczny ma w sobie dość soków żywotnych, aby ze siebie zaczerpnąć siły odradzenia? Czy nie będzie ono musiało przyjść z zewnątrz i czy odrodzeniem nie będzie właśnie unicestwienie tego nadmiaru kultury osobistej? Na pytania te nie odpowiadam, nie stanowią one bowiem w tej chwili mego zadania, ale wszystko zdaje się wskazywać, że przyszłość nie należy do tych ludzi kultury, że wszystko, co może myśl o niej nspobnie optymistycznie, nie będzie ich dziełem, ale pierwiastków nowych, silnych, zdrowych, żywotnych!]

J. Laskowski.

związku między fabrycznym prawodawstwem międzynarodowym, a międzynarodowym uregulowaniem produkcji. Znalazłszy w n-rze 11 *Prawdy* wymierzony przeciw mnie artykuł, p. t.: „Tymczasowy obrachunek”, sądziłem, iż spotkam tam dalsze wyjaśnienie tej kwestyi i usiłowania osłabienia przynajmniej moich argumentów. Tymczasem p. K. R. Żywicki w obszernym swym artykule nie powiedział w kwestyi naszego sporu ani jednego słowa, co nie przeszkadza mu z dobrą miną mówić o „odpartej krytyce”. W zamian za to p. K. R. Żywicki rozpisuje się długo o rozmaitych rzeczach, nie mających najmniejszego związku z naszą polemiką, jako to o znośnych przez siebie jajach, o rozterkach socjalistów niemieckich, o rozmowach swoich z jednym ze współredaktorów naszego pisma, o p. Zakrzewskim i t. d. Z całego tego potoku zdań, uwag i zarzutów wybierzemy parę.

Przedewszystkiem p. K. R. Żywicki ma mi za złe, że mówię o jego uczuciach i, jak się wyraża, chcę mu zajrzeć do duszy. Daleki jestem od tej chęci, dusza p. K. R. Ż., jako taka, nie obchodzi mnie wcale: jeżeli jednak wypada mi, jako publicyście, mówić o czyichkolwiek wystąpieniach publicznych, to muszę zwracać uwagę nie tylko na słuszność, lub ni słuszność głoszonych poglądów, ale i na te uczucia, jakie w słuchacza, lub czytelnika wywołają one mogą. Z tej tylko przyczyny zarzuciłem p. K. R. Żywickiemu brak uczuć humanitarnych i zarzutu tego nie cofam. Człowiek, który sam nie podaje żadnych środków usunięcia nędzy chłopów i jednocześnie jako argument przeciw jednemu ze sposobów proponowanych (w danej chwili nie chodzi mi o to, czy najlepszemu) przytacza ten wzgląd, że „w piątym, dziesiątym pokoleniu... stan rzeczy przybierze postać, o usunięciu której walczyliśmy” (*Prawda* 1889 r. n-er 6)—człowiek taki nie może chyba rościć pretensyi do posiadania uczuć humanitarnych. Słuszniejszymi może są jego protesty przeciw twierdzeniu memu, iż dochodzi on do nienawiści chłopu, uczucia bowiem, żywione przez niego dla chłopów, są raczej uczuciem wzgardy, niż nienawiści. P. K. R. Żywicki utrzymuje w ostatnim swoim artykule, że „pała wstrętem tylko ku owym warunkom, co usuwają człowieka od dobrobytu i wiedzy”, tj. ku drobnej własności i uprawie. Bardziej to szlachetnie ze strony p. K. R. Ż. i zgodzilibyśmy się z nim zupełnie, że nie warto przedsiębrać środków utrzymania chłopów przy ziemi, gdyby na drodze „naturalnego rozwoju” czekała ich lepsza przyszłość. Weźmy jednak do ręki „Złudzenia demokratyczne” p. K. R. Żywickiego, w których, jak utrzymuje obecnie, „wyraził jasno wiele swoich założeń”; przeczytajmy, co sam o tem mówi:

„W rozwiniętych społeczeństwach podąża szybko wywłaszczenie całych warstw i zamiana ich na najmitów. Ale jednocześnie postępujące rozszerzenie rynku dostarcza im zarobku w służbie wywłaszczycieli”. „Inaczej się wszakże dzieje w innych prowincjach organizmu międzynarodowego. Rozwój przemysłowy jednego kraju jest bowiem zarazem źródłem zastój w drugim, który później wystąpił na widownię walki o zyski”. Kraje takie stają się łupem bardziej rozwiniętych, niemiłosiernie je wyzyskujących. „W najlepszym razie, kapitały krajowe, powstałe przy tym rabunku, oraz wyciśnięte z lichwy, przy pomocy aferzystów zagranicznych, poczną się skupiać i wytwarzać przemysł miejscowy. Atoli historyczne okoliczności powstania zwięzają już z góry rynek i pozwalają mu wzrastać bardzo powolnie. Kropla ta fermentu, jakkolwiek na razie niewielka, działa nader rozkładająco, stosownie do praw już rozpatrywanych. W kraju zjawia się niezmierna masa ludu wydziedziczonego ze źródeł utrzymania, a nie znajdującego zarobku przy powstającym przemysle, krom nielicznej garstki”. „Masy te rzucają się do roli, jako do jedynej deski zbawienia i drobna uprawa i własność zjawiają się znowu w gorszej tylko, okropniejszej formie lichwiarstwa gruntowego, przy którym chłop oddaje cały niemal rezultat swej pracy na oplacenie nadmiernie wygórowanej dzierżawy, lub też procentów od pożyczonych na kupno ziemi pieniędzy”. (*Prawda* 1889—n-er 11). Tej „ponurej tragedii społecznej” przyglądać się należy spokojnie i obojętnie, bo pomaganie chłopom w nabywaniu drobnej własności—to „czepanie

wody sitem”, to „walka don Kiszota z wiatrakami”, inne zaś środki pomocy są, zdaniem p. K. R. Ż., zupełnie niemożliwymi. Dziwna miłość ku „ludziom—chłopom” i dziwny wstręt ku warunkom!

Z tego okropnego stanu, jakiśmy powyżej na zasadzie słów p. K. R. Żywickiego przedstawili, chłopci nie mogą wyjść sami, gdyż, utrzymuje stanowczo acz bezdowodnie p. K. R. Ż., są oni zupełnie niezdolni do wytworzenia kooperacji dobrowolnej, lepszą przyszłością obdarzą ich dopiero robotnicy fabryczni, stworzeni i zorganizowani przez wielki przemysł. W jaki zaś mianowicie sposób, przedstawił to p. K. R. Ż., w art. „Społeczny rozwój polityczny” w n-rze 8 *Prawdy* z r. b. W najbliższej przyszłości, powiada on, w Anglii, Ameryce i Francji ujrzymy albo dyktaturę burżuazji, albo dyktaturę robotników. (Młody wilk, albo stara kurapatwa). Przepowiednia istnie pityjska! Mniejsza jednak o to, przypuścimy, że nastąpi dyktatura robotnicza. Pierwszym jej czynem, utrzymuje p. K. R. Ż., będzie zgotowanie przykrego losu wsiom, wywłaszczenie chłopów. W „Tymczasowym obrachunku” sprawę tę p. K. R. Żywicki traktuje obszerniej i na pozór daleko łagodniej, niż poprzednio. Przedewszystkiem obecnie mówi już o samej Anglii tylko, gdzie chłopów właścicieli prawie nie ma, robotnicy zaś więcej bardziej, niż gdziekolwiek, zbliżają się w poglądach i dążeniach do robotników fabrycznych.

Ponieważ jednak w n-rze 8 p. K. R. Ż. wymienił 3 kraje i w ostatnim swym artykule żadnych zastrzeżeń nie robi, mam więc prawo analizować jego poglądy na tle stosunków któregośkolwiek z tych krajów i wybieram Francję. Wywłaszczenie chłopów przedstawia p. K. R. Żywicki w ostatnim swym artykule w następujący sposób: „Zgotowanie przykrego losu wsiom, powiada on, to przyjęcie najmitów wiejskich do gospodarstwa na kraju—folwarku, utworzonym z wykupna wielkich majątków, to założenie banków, które zdjęłyby ciężar długów lichwiarskich z chłopu i nabywały grunta tych, którzy daliby się przekonać o wyższości należenia do owego kraju—folwarku, i wreszcie wywłaszczenie opornych resztek—naturalnie nie po to, aby wyrzucić je w otchłań nędzy, ale żeby uczynić je współwłaścicielami i współpracownikami w olbrzymim majątku, co umożliwi masową wiedzę i dobrobyt”.

Jak łagodnie brzmi początek tego ustępu! Sądzicież można, że wyrazu „wywłaszczenie” użył p. K. R. Żywicki przez omyłkę zamiast „uwłaszczenie”, następnie jednak zdanie pod również łagodną i niewinną powłoką ukrywa całkiem coś innego. „Nabywać grunta tych, którzy daliby się przekonać o wyższości należenia do owego kraju folwarku!” I to mówi p. K. R. Żywicki, ten sam, który w „Złudzeniach demokratycznych” powtarza za Lafargue'm, że „zaiste, łatwiejszą wydaje się rzeczą nauczenie osłów z Poitou deklamowania Wiktora Hugo, aniżeli przekonania chłopstwa o korzyściach współdzielenia”. Tak, zdaniem p. K. R. Ż., przedstawiają się rzeczy obecnie, ztąd mamy zupełne prawo przypuścić, że w najbliższej przyszłości chłopci francuzcy również nie dadzą się przekonać tak łatwo, i że zatem wywłaszczać trzeba będzie nie „oporne resztki”, lecz całe masy. W rezultacie więc mielibyśmy bratobójczą walkę, wobec okropności której bledną wszystkie ponure tragedye teraźniejszości. Brak solidarności między różnymi warstwami ludu pracującego, nierozumienie się wzajemne i niedowierzanie—rezultat odmiennych warunków, w jakich żyją i rozwijają się te warstwy—nieraz już były przyczyną niepowodzenia najszlachetniejszych zamiarów, nieraz już zapewniały tryumf wyzyskiwaczom, trzymającym się zasady: *divide et impera*. I oto tę upragnioną solidarność—otrzymać chce p. K. R. Żywicki za pomocą bagnętów. Wzniosły ideał! Mniejszość zmuszająca większość siłą do przyjęcia instytucyj, których ta ostatnia nie chce! Nie rozumiem, jak można o czemś podobnym mówić z takim lekkim sercem, jak to czyni p. K. R. Żywicki. O uczuciach nie mówię, chcę wierzyć, że „osły z Poitou”, „oporne resztki” wszystko są to słowa, natchnione miłością—tylko miłością. O ile jednak wywłaszczenie takie sprzecznemby było z naszymi pojęciami o sprawiedliwości, o tyle również niebezpiecznemi i tragicznemi mogłyby być skutki, bo zwyczajtwa robotników jest w razie wal-

Rachunek bieżący.

II.

W n-rze 10 *Głosu* wykazałem p. K. R. Żywickiemu całą niesłuszność podtrzymywanej przez niego z wielką pewnością siebie tezy o koniecznym

ki rzeczą nader problematyczną i zapewne znowu z nierozumnej własni pożytecznych członków społeczeństwa skorzystałoby tylko wyzyskiwacz.

P. K. R. Żywicki zresztą sądzić może, iż chłopci nie oparliby się żadnym rozkazem, bo, jak utrzymuje: „rzeszom wiejskim przypada tylko bierna rola historyczna”, podczas gdy czynna stanowi udział jedynie drobnej części społeczeństwa, znajdującej się w specjalnych warunkach. Co właściwie chce przez to powiedzieć p. K. R. Żywicki, nie wiem. Wygląda to na sparadyjowanie słów Lassalle'a, który, jak wiadomo, utrzymywał, że w każdym okresie dzisiejszym ideje jednej jakiejś klasy społecznej przenikają wszystkie inne warstwy i w ten sposób stają się przewodniemi idejami ludzkości. O idejach jednak p. K. R. Żywicki nie ma nic nie mówi, prawdopodobnie więc znaczyć ma to coś innego. Nie chcąc wdać się w przypuszczenia, powiem tylko, że w państwach swobodnych wszystkie warstwy wpływają na bieg wypadków i że nie mamy prawa mówić o bierności chłopów, zwłaszcza wobec wypadków z lat ostatnich. Czy biernymi są chłopci irlandzcy, zmuszający Anglię do wydawania praw według swojej woli, czy biernymi byli chłopci rumuńscy, lub włoscy w czasie niedawnych rozruchów, czy biernymi są krofterzy szkoccy, a wreszcie nawet chłopci niemieccy, nie przekraczający wprawdzie ramek legalnego działania, wiążący się jednak w stowarzyszenia i gromadzący się na zjazdy polityczne. Działalność ta może się p. K. R. Ż. nie podobać, nie można jednak nazwać jej biernością.

Przechodzimy obecnie do sprzeczności p. K. R. Żywickiego. Przypisuje on możliwość ich i dla wyjaśnienia między innymi powiada, że zmienia swe poglądy „pod natłokiem nowych faktów”. Bardzo słuszną zasadą. Dziwnem a-toli wydać się musi, że człowiek „uzbrojony całą wiedzą”, jak skromnie mówi o sobie p. K. R. Żywicki, w trakcie pisania jednego szeregu artykułów, w ciągu jakichś 3 tygodni zmienia swe poglądy i sam tego nie spostrzega, nie zawiadamia o tem czytelników. Mnie się zdaje, że takie wypadki możliwe są tylko z człowiekiem, obładowanym wiedzą, gromadzącym w mózgu szereg pośpiesznych uogólnień, nie związanych w jedną całość. Znakomitą ilustracją stanowią właśnie dwie wytknięte przeze mnie sprzeczności. Jedną z nich, jak pamiętają czytelnicy, polega na tem, że p. K. R. Ż., znajduje „harmoniję zobopólną”¹⁾ interesów robotników i kapitalistów i jednocześnie utrzymuje, że ruina całych nawet gałęzi przemysłu nie obchodzi wcale robotników. Sprzeczność widoczna, lecz p. K. R. Żywicki wcale nie jest tem zmieszany, przeciwnie, gotów on jest przytoczyć szereg faktów na poparcie zarówno pierwszego, jak i drugiego twierdzenia. Nie umie on, czy nie chce poddać analizie krytycznej owych faktów i w ten sposób zrozumieć właściwego ich znaczenia. Komicznem jest np. stawianie w jednym szeregu świadomie obmyślanego żądania prawodawstwa międzynarodowego i faktów takiego rodzaju, jak niszczenie fabryk w czasie rozruchów, tj. czynu refleksyjnego, dokonanego w chwili wybuchu namiętności, lub emigracji, tj. ucieczki przed głodem. Nie potrzebnie też p. K. R. Żywicki zasłania się robotnikami. Pytałem go i pytam raz jeszcze, jakie jest jego własne zdanie: czy robotnicy mają interes w zachowaniu przemysłu, czy też, przeciwnie, ruina całych gałęzi przemysłu wcale ich nie obchodzi. Taż sama historia z drobną własnością w Anglii. Opisując jej stan obecny, p. K. R. Żywicki utrzymywał w jednym z zacytowanych ustępów, że pod wpływem konkurencji amerykańskiej drobna własność stała się niemożliwą, w drugim zaś, przeciwnie, że pod wpływem tego samego czynnika własność wielka rozpada się na drobne fermy. Obecnie objaśnia p. K. R. Żywicki te sprzeczności tem, że w obu razach stał na różnych stanowiskach. W badaniu teoretycznym możemy wyodrębnić rozmaite czynniki i analizować wpływ każdego z nich z osobna. W opi-

nie jednak stanu obecnego musimy od razu przedstawić rezultat wszystkich, często sprzecznych czynników. Jeżeli byśmy nawet w Anglii np. spotykali jednocześnie fakty upadku i powstawania drobnej własności, to należałoby wyjaśnić w jakich miejscowościach i w zależności od czego rozwijają się dwa te zjawiska. Przypisywał je działaniu tego samego czynnika równa się nie pouczeniu czytelników, o co p. K. R. Żywickiemu chodzi, lecz ich bałamuceniu. Uwaga p. K. R. Ż., że wskrzeszenie drobnej własności w Anglii byłoby przegrana dla cywilizacji, nie ma żadnego znaczenia. Być to wszystko może, lecz przedewszystkiem należy skonstatować fakt, a potem już go oceniać. Wpadając tak często w podobnego rodzaju sprzeczności, p. K. R. Żywicki żąda jednak od nas, żebyśmy w polemice z nim takowych nie wyszukiwali. Dziwne żądanie! Jeżeli p. K. R. Żywicki w tej samej kwestyi wypowie dwa różne zdania — musimy przecież powiedzieć, z którym z nich polemizujemy, z którym zaś zgadzamy się. Jeżeli nawet żadne z wygłoszonych zdań nie wyda się nam słusznem, to także będziemy musieli wskazać, że nie piszemy się na żaden z jego poglądów. Słowem, żądanie p. K. R. Żywickiego jest wprost niemożliwem do spełnienia.

Polemika nasza rozpoczęła się zupełnie przypadkowo, wywołał ją p. K. R. Żywicki zarzutem, jakobyśmy nie dojrżeli koniecznego związku między fabrycznym prawodawstwem międzynarodowym i międzynarodowym uregulowaniem produkcji¹⁾. Ma jednak zupełną rację p. K. R. Żywicki, utrzymując, że starcie między nim a *Głosem* musiało nastąpić, ponieważ „pomimo pozornego pokrewieństwa” dzieli nas głęboka różnica. Postaram się wyjaśnić tę sprawę, co zaraz ułatwi p. K. R. Żywickiemu zrozumienie, dla czego mówimy o pracy w zakresie jednego pokolenia. Pokrewnymi są nasze poglądy na przyszłość następnych pokoleń. Lecz nie w imię takiego rodzaju poglądów wiążą się ludzie w stronnictwa. Spójnię stronnictw stanowią interesy bieżące, praca w zakresie jednego pokolenia. Wyjaśnimy to przykładem. P. K. R. Żywicki opowiadał mi kiedyś, że niektórzy przedstawiciele naszej „haute finance” w poglądach swych na przyszłość są „społecznikami” czystej wody. Przypuśmy, że fakt jest prawdziwy (co jest zupełnie możliwem), czyż to pokrewieństwo poglądów na przyszłość mogłoby nas i owych przedstawicieli „haute finance” połączyć w jedno stronnictwo? Nie, bo dzieliłaby nas głęboka różnica — odmienne zapatrywanie się na interesy bieżące, na działalność praktyczną. Nasz „oportunizm” (takim mianem ochrzcił łaskawie p. K. R. Żywicki nasze przekonania) jest to ciągła walka z burżuazją, inaczej nieco ma się rzecz z pseudo-radykalizmem p. K. R. Żywickiego. Jeżeli „Złudzenia demokratyczne” mają jakiś sens, to ten jeden tylko: szczerpy kapitalizm, w nim bowiem cała nadzieja lepszej przyszłości. (Nie sądzę, żeby p. K. R. Żywicki chciał temu zaprzeczyć, gdyby to jednak uczynił, dowiodę mu tego). Co znaczą te słowa? Nie jestże to dawna „praca organiczna”, przebrana w nowe szaty, o-zdobiona nową sankcją moralną, której krytyka demokratyczna pozbawiła ją poprzednio. Ograniczyliśmy dyskusję do sfery ekonomicznej tylko, gdybyśmy wkroczyli jednak do sfer innych, przekonaliśmy się, że w innych dziedzinach również p. K. R. Żywicki powtarza za mieszczanstwem: „laissez faire”. Jasnym jest teraz, dla czego pomimo „pozornego pokrewieństwa” przekonania starcie nasze było nieuniknionem — dla tego że należymy do dwóch wrogich sobie stronnictw.

Na tem właściwie zakończyćby się winna o-

¹⁾ P. K. R. Żywicki dziwi się dla czego tak długo nie odpowiadaliśmy na jego „Złudzenia demokratyczne”, jakkolwiek jeżeliby zdania tam zawarte okazałyby się słuszne, zbijałyby one podstawowe twierdzenia *Głosu*. My ze swej strony pytamy p. K. R. Żywickiego, dla czego zaraz po wydrukowaniu „Złudzeń” zapewniał nas uroczyście, że wcale nie miał zamiaru występować przeciwko *Głosowi* i że bardzo mu przykro, iż dzięki paru niezręcznym wyrażeniom, mogą mu przypisać taki zamiar. Uzupełnić też musimy opowieść p. K. R. Ż. o rozmowie z jednym ze współredaktorów naszego pisma. Kolega W. proponował p. K. R. Ż. sformułowanie 6 tez i jednocześnie rozwijanie ich przez siebie w *Głosie* i przez K. R. Ż. w *Prawdzie*. P. K. R. Ż. na propozycję tę nie przystał.

becna nasza polemika, zaprotestować jednak muszę przeciw oskarżeniu p. K. R. Żywickiego, jakoby *Głos* w ostatnich czasach odzywał się z przekąsem o nauce. Jest to nieporozumienie, wynikłe z utożsamiania przez p. K. R. Żywickiego osoby swojej z nauką. Mówiliśmy z przekąsem nie o nauce wogóle, ale o nauce p. K. R. Żywickiego, żartowaliśmy nie ze studyjowania nauki społecznej, ale z marnych rezultatów, jakie otrzymał p. K. R. Żywicki ze swego „przysiadania fałdów”.

J. H. Siemieniecki.

GŁOSY.

— Z powodu tegorocznych odczytów.

Dnia 13 b. m. w Sali ratuszowej wygłosił p. Dembiński, docent wszechnicy jagiellońskiej, odczyt: „O upadku rycerstwa”. Zarówno co do formy, jak i co do treści, odczyt ten zaliczyć należy do najslabszych z tych, jakich kiedykolwiek publiczność warszawska musiała słuchać.

Już sam organ mowy prelegenta nie kwalifikuje go do występów oratorskich. *Głos* p. Dembińskiego, słumiony i, jakby z trudem wynykający się z piersi, nuży słuchacza; tam zaś, gdzie prelegent chce być patetycznym, wywołuje efekty, graniczące z komizmem.

Co do wewnętrznej wartości odczytu, to najwzględniejszy krytyk musiałby zarzucić p. Dembińskiemu, że z opracowaniem swej rzeczy zbyt mało robił sobie subiekty.

Była to dość sucha i bezładna pogadanka o rzeczach powszechnie wiadomych, — zarówno uboga we fakty, jak i w pojęcia.

Po tej ocenie moglibyśmy nad odczytem p. Dembińskiego przejść do porządku dziennego, gdyby nie ta okoliczność, że prelegent postarał się zaznaczyć dość wyraźnie swe historyczne i społeczne poglądy, które, nawet człowieka bardzo umiarkowanych przekonań, razić musiały swą zaśniedziałością i kastową ciemnotą.

Według p. Dembińskiego rycerstwo tworzyło zakon, którego zadaniem była walka z wrogami świata chrześcijańskiego, obrona uciśnionych, wdów i sierot. Rycerz był odważnym, przedsiębiorczym, szlachetnym i bezinteresownym. W pogoni za romantycznymi przygodami i w bezinteresownie, dla idei prowadzonych wojnach krzyżowych, pozwoliło niebacznie rycerstwo, kosztem swoim, wzrosnąć w potęgę tej części gminu, która zamieszkała miasta. W „zawsze niezdrowej moralnie” atmosferze miejskiej dojrzała klasa, która obok wytrwałości, uzdolnień handlowych i pracowitości od samego początku swego istnienia odznaczała się wstrętem do walki, egoizmem, brakiem ideałów i ciasnotą wyobrażeń. W miarę wzrastania potęgi miast i wzrostem tym wywołanej zmiany warunków, paczą się ideały rycerstwa i znaczenie jego upada; nie jest już ono bowiem jedynym stanem, lecz tylko jednym obok innych.

W XIII w. rozpoczyna się upadek rycerstwa i jego ideałów. Wraz z tem poczyna się okres rewolucyjny, zaznaczający się rozstrojem społecznym i moralnym. Epoka odrodzenia wywiera wpływ destrukcyjny na umysłowość, rozpoczyna się szereg rewolucyj politycznych, buntów chłopskich, wojen religijnych, a wreszcie wszystkie te czynniki rozkładowe znajdują swój wyraz w Wielkiej Rewolucji, która jest „wybuchem zawiści klasowej” skierowanej przeciwko stanowi rycerskiemu. P. Dembiński nie uważa, zdaje się, okresu rewolucyj za zamknięty, kończy bowiem swą prelekcję życzeniem harmonii, którą rozumie, o ile wnioskować można, jako pogodzenie pierwiastku idealnego, reprezentowanego przez stan rycerski, z pierwiastkiem utilitarno-merkantylnym, którego przedstawicielem jest mieszczaństwo.

Takim jest historyjofizyczny pogląd p. Dembińskiego. Czem było właściwie rycerstwo, jaką odegrało rolę w tworzeniu się społeczeństw europejskich — tego nie dowiedzieliśmy się z jego odczytu. Natomiast doszliśmy do przekonania, że dla „uczoności” krakowskiego, pojęcia takie, jak postępowy rozwój społeczny, ekonomiczny i etyczny, są czemś zgoła pozbawionem treści. Według p. Dembińskiego pragnienie ideału nie jest nieodłączną właściwością ludzkiego ducha; ideał nie przyswieca każdemu zbiorowemu spo-

¹⁾ Myli się p. K. R. Żywicki, sądząc, że zgadzam się na to zdanie, co najmniej sformułowanie jego uważam za niefortunne. Harmonija interesów — ulubione wyrażenie Bastiata i Schultzego z Delitach — nie wyraża właściwie faktu. Zachowanie przemysłu jest interesem całego narodu, społeczeństwa, więc interesem narodowym, w przeciwstawieniu do interesów klasowych.

lecznemu wysiłkowi. Ideał jest monopolem jednej kasty, zatracą się wraz z jej upadkiem. Walka za wolność przekonań religijnych, za swobodę myśli jest działaniem destrukcyjnym. Walka emancypacyjna coraz szerszych kół społecznych o prawa ludzkie i obywatelskie—jest wybuchem zawisłości klasowej!

Widzimy z tego, że p. Dembiński ma wszelkie dane, aby w przyszłości zostać profesorem wszechniczy, która niemal od pierwszych chwil swego istnienia była i jest przytułkiem zaplesniałej wiedzy i wycofanych z obiegu teoryj.

Dziwnem jest tylko, dla czego p. Dembiński do nas zawitał podzielić się swym światłem krakowskim. U siebie, w domu, pośród romantycznych starych hrabin, pośród stańczyków i jezuitów, znalazłby niewątpliwie liczniejszych i wdzięczniejszych słuchaczy.

Nasza warszawska publiczność pragnie wiedzy, nie zaś wytartych frazesów. Nasza publiczność nie jest tak ciemną, ani tak ogłupioną, żeby szukać miała ideałów w barbarzyńskiej, czy też rycersko-feudalnej przeszłości, która nadto nigdy nie była naszego narodu przeszłością. Rozumie ona, że po wsze czasy znajdowali się i znajdować będą ludzie, walczący za uciśnionych, poświęcający życie w obronie ziemi, która dla nich jest „świętą”. Wie ona z doświadczenia, że ludzie tacy niekoniecznie należą do podrabianych epigonów średniowiecznego rycerstwa, którym hasła ich rzekomych przodków tak przystoją, jak szyszak stalowy głowie hr. St. Tarnowskiego na Hołdzie pruskim Matejki...

A teraz słów parę co do naszych publicznych odczytów w ogólności. Nie tajną jest rzeczą, że z roku na rok coraz mniejszą odznaczają się one wartością, coraz obojętniejszą też okazuje się względem nich publiczność.

Winną tu jest w znacznej mierze prasa tutejsza, z zasady wychwalająca każdy najędźniejszy nawet odczyt, zwłaszcza jeżeli dla wypowiedzenia takowego prelegent odbył dłuższą podróż koleją. Podczas kiedy na Zachodzie najznakomitsi uczeni odczyt publiczny uważają za wielce trudne i mozolne zadanie—u nas przeciętnej miary powaga, wypowiada odczyt od ręki, z góry pewną będąc pochwałą i podziękowań.

Coraz częściej też na katedrę prelegentką wstępują ludzie, nie zgoła nie mający do powiedzenia swemu społeczeństwu, a tylko szukający na tej drodze reklamy i tanich triumfów.

Jak na tem wyjdzie dobroczynność warszawska, wnioskować możemy ze świecących pustką sal odczytowych; jak na tem wychodzi nasza umysłowość—niech prasa nasza w duszy sobie dośpiewa.

W. Ziemiński.

— **Pod adresem redakcji Wielkiej Encyklopedyi.** W nr. 2 *Roli* w rubryce odpowiedzi od redakcji czytamy następujący ustęp; „Na zapytanie szanownego księdza dobrodzieja zakomunikowane przez nas „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej”, otrzymaliśmy od p. Sikorskiego (wydawcy) odpowiedź, iż „Encyklopedya” ma być prowadzoną zgodnie z zasadami chrześcijańskimi i, wogóle w duchu zachowawczym”

Pozwalamy więc sobie zapytać redakcję Encyklopedyi powszechnej; co ma oznaczać powyższe „zapewnienie”, uczynione przez wydawcę? Kwestyja ta obchodzić musi bardzo ludzi, którzy łożą na Encyklopedyję w nadziei, że da ona im odpowiedź na wątpliwości nie w duchu „zachowawczym” lub „chrześcijańskim”, lecz naukowym.

— **Wstrzeźliwość kuryjerów.** W tym tygodniu Kuryjerzy podały wiadomość, że przy rozpatrywaniu protokołów posiedzeń „jednego” z cechowych zgromadzeń rzemieślniczych władza znalazła ogromne nieporządki. Tak np. dostrzeżono, iż przy wyzwolinach uczniów nie pobierano ustanowionej opłaty, że z sum cechowych, przeznaczonych wyłącznie na potrzeby zgromadzenia, czynione były nieprawne wydatki na podejmowanie oddzielnych członków zgromadzenia po sesyjach, nabożeństwach, mszach żałobnych, pogrzebach i t. p.; wreszcie, że opłaty za świadectwa czeladnicze do r. 1888 nie były wnoszone do kasy cechowej, co pozwala przypuszczać, że pobierane bywały przez starszego zgromadzenia na jego własną korzyść.

Smutny to dowód korupcyi społecznej,—lecz niemniej smutnym jest fakt tej systematycznej wstrzeźliwości w nazywaniu po imieniu Piotra Piotrem, Jotra Jotrem. Stała ta taktyka pism naszych wogóle—kuryjerów w szczególności, taktyka przykrywania wszelkich brudów anonimowymi „pewien” lub „jeden”, usypia opinię społeczeństwa i pozwala w łonie jego rozrastać się wszelkim chwastom moralnym.

— **Własność literacka.** P. Eryk Jachowicz, syn popularnego bajkopisarza dla dzieci Stanisława Jachowicza, protestuje przeciw wydaniu w Krakowie pism jego ojca, bez zezwolenia spadkobierców. P. E. Jachowicz wyraża nadzieję, że uczciwi księgarze warszawscy książki, z krzywdą (?) jego wydanej, sprzedawać nie będą. Nie chodzi nam o to, czy bajki Jachowicza w wydaniu krakowskim będą u nas sprzedawane czy nie, ale cała ta sprawa ma bardzo doniosłe, zasadnicze znaczenie.

P. Jachowicz wyrzucił pragnie nacisk moralny na księgarzy i twierdzi, że wyrządzono mu krzywdę? Wolno spytać: jaką? Pozbawiono go monopolu wyzyskiwania publiczności, z jakiego pragnął korzystać, osłaniając się popularnym nazwiskiem ojca. Przecie p. E. Jachowicz ani jednej z tych bajek nie napisał, nawet nie poprawił, nie przerobił, z jakiej więc racyi ma otrzymywać wynagrodzenie za cudzą pracę. W najlepszym razie powołać się może na „święte prawa własności”, ale przecie ojciec jego otrzymywał wynagrodzenie za swe bajki i jeżeli je zaoszczędził, to p. Eryk Jachowicz pieniądze te wziął w spadku. To najzupełniej wystarczyć mu powinno.

— **Zmowa czy spółka?** Cegielnie, położone pod Warszawą, zawarły niby to spółkę, mającą na celu przez założenie wspólnego kantoru do sprzedaży swych wyrobów — osiągnięcie oszczędności na kosztach handlowych, a zarazem ułatwienie nabywcom poszukiwania towaru, gdyż teraz, zamiast chodzić do kilkunastu kantorów, mogą iść tylko do jednego i tam, mając towar do wyboru, rzecz całą załatwić szybciej i taniej. Pozornie rzecz wygląda bardzo niewinnie i zdaje się być pożyteczną dla stron obu. Ale sami przedsiębiorcy budowlani okazali nam całą rzecz w innym świetle. Oto zaraz po zawarciu się „spółki” podniesiono ceny cegły o kilka rubli na tysiącu, choć koszta handlowe skutkiem założenia wspólnego kantoru znacznie się zmniejszyły. Dalej, gdy jeden z przedsiębiorców zgłosił się do kantoru z chęcią nabycia pewnej ilości cegieł z cegielni X, odpowiedziano mu, że cegły te nie będą sprzedawane, póki cegielnia Y nie sprzeda całego swego zapasu, choćby więc komu nie potrzebne były cegły z cegielni Y, to musi je kupować, gdyż innych nie dostanie. Z faktów tych widać jaknajjaśniejsz, iż owa „spółka” jest najzwyczajniejszą zmwą, mającą na celu wyzysk publiczności i zakazaną przez kodeks karny.

— **Wystawa Przemysłowa.**

Na wstępie niniejszego sprawozdania należy postawić pytanie, jaki właściwie ma cel Zarząd muzeum w urządzaniu corocznych wystaw? Jeżeli bowiem chodzi o wykazanie postępu i udoskonalenia, poczynionych we wszystkich gałęziach wielko-przemysłowej i rzemieślniczej produkcji, to odstępy czasu między owymi muzealnymi popisami zbyt są drobne—nasz postęp zaś na wszystkich polach społecznego życia zbyt zółwim wlecz się krokiem, aby cel podobny osiągnąć wystawy mogły. Jeśli zarząd chce po prostu pomódz coraz to bardziej utyskującemu na zastój i złe czasy przemysłowi naszemu, i w nadziei zwiększenia zbytu różne artykuły z wystaw sklepowych ściągają do sal muzealnych, to wątpliwy, aby ten środek był skutecznym, bo nierozgłośne wystawy przypadkiem tylko mogą ściągnąć nabywcę i poważniejsze obstalunki z obcych rynków, miejscowa zaś publiczność woli kupować po cenach normalnych w sklepach, niż po wygórowanych na wystawie.—Wierzmy najmocniej w szczerą chęć zarządu, lecz owego jasno określonego programu, tym mniej dodatnich rezultatów z owej dotychczasowej mody wystawowej dojrzeć nie możemy.—Przypuszczamy, że Zarząd sprawę tę traktuje

bardzo poważnie, lecz muszą być jakieś organiczne braki w tym systemie działalności, skoro go tak lekceważą sami producenci-wystawcy, nie zbyt skwapliwie garnący się do owych spowszedniałych popisów; jeśli go nakoniec lekceważą publiczność, którą koncertami i t. p. sposobami trzeba zwabiać do popierania usiłowań muzeum.

W ciasnych ramach naszego życia kwestyję tę musimy uważać za żywotną i ważną, dla tego też poświęcimy jej w niedalekiej przyszłości specjalny artykuł, tymczasowo zaś ograniczymy się do kronikarskiej wzmianki o obecnej wystawie. Przedewszystkiem uderza nas nieobecność wytworów pracy kobiecej, kwalifikujących się może najbardziej do podobnego rodzaju reklamy.

Z wyjątkiem szkoły p. Tokarzewskiej i p. Głodzińskiego, nikt nie przedstawił okazów okryć, sukien, ubiorzków i kapeluszy. Produkcją koronek, wyrobów dżetowych, bielizny, krawatów zajmują się dziesiątki, jeśli nawet nie setki firm i tysiące rąk kobiecych, a ani jednej sztuki z tych artykułów nie znajdujemy na wystawie. Dochodzące do prawdziwego arcyzmu kwaciarstwo nasze z liczby kilkudziesięciu firm warszawskich, reprezentowane jest przez jedyną firmę p. Grabskiej i to w dodatku nie objętą katalogiem, tak, że ten skromny bukiet kwiatów można raczej uważać tylko za upiększenie szafy z wyrobami braci Norblinów.

Inne rzemiosła kobiece, jak: kamasznictwo, pończosznictwo, tkactwo domowe, bardzo zyskowy dziś wyrób pasmanteryj—były reprezentowane nader skromnie przez parę firm zaledwie.

Jeszcze smutniej jednak przedstawia się domowy przemysł włóściański. Wtedy, kiedy w Rosyi całej gorąco zajmują się popieraniem tego przemysłu, udoskonalaniem jego strony technicznej, oraz ułatwianiem zbytu jego wyrobom, u nas traktowany on jest po macoszemu, a jeśli od czasu do czasu wpadnie nam w oko jakiś okaz wyrobu chłopskiego, to napewno wstawiony w ramki czysto pańskie.

I tak np. na obecnej wystawie wystąpiła szkoła parobcza z Podzamcza (gub. siedlecka pow. garwoliński); wyroby te chłopskie pozostają, że się tak wyrazimy, pod protektorem hr. Zamojskiego, przez co rzecz całą z racjonalnego przedsiębiorstwa wykoszławiła się w pańskie amatorstwo; — wyrobów bowiem nie sprzedają całkiem, a ceny oznaczone dla robienia obstalunków na wszystkich przedmiotach są tak wygórowane, że nikt zamówienia zrobić nie może, tymbardziej, że wszystkie wyroby należą do artykułów codziennego użytku, co zatem muszą być bardzo tanie. Są jeszcze „włóściańskie wyroby koszykarskie” przedstawione przez p. L. Kirchnera z Lublina, skromnie rozwieszane na schodach bez oznaczenia nawet ceny na nich.

I więcej nic, absolutnie nic, co by było oznaką praktycznych usiłowań w kierunku podniesienia dobrobytu chłopa przez produkcyjne użytkowanie wolnego od zajęć rolnych czasu. Bal... bo też zupełnie co innego jest zachwycać się artykułami pism, nawołujących do pracy nad oświatą i dobrobytem ludu, przyznawać, że od uobywatelnienia ludu losy narodu zależą,—co innego zaś czynną rękę do sprawy tej przyłożyć. Tymczasem w praktyce nie w teorii jak dla owych koszyków chłopskich, tak samo i dla pięknej kwestyi chłopskiej miejsce w przedpokojach i na schodach najwłaściwsze. Co tu zresztą mówić o chłopie, o losach narodu i o tym podobnych acz miłych lecz złe rentujących przedsiębiorstwach, kiedy nasze ukochane, bo do niedawna dobrze rentujące dzieciętko—nasz wielce szanowny przemysł, przy pomocy którego mieliśmy świat zawojować, na każdym kroku składa dowody sławnego polskiego niedołęstwa.

Weźmy dwa jaskrawsze przykłady. Wiadomo, że wszystkie nasze galanteryje na dłuższy czas mają zapewniony dobry zbytny na rynkach cesarstwa, bo gust i zdolność naszego robotnika w niektórych szczególniejszych działach, np. w galanteryjnych wyrobach skórzanich, tworzą wprost sui generis artystyczne pieścidełka, mogące śmiało konkurować z „objets d'art” Paryża.

Cóż z tego, kiedy prawie wszystkie części składowe do owych wyrobów sprowadzają się z zagranicy. I tak: okucia, zameczki, narożniki,

skóra nakoniec na owych wszystkich eleganckich portmonetkach, teczkach, albumach, sakwożachach i t. d., wszystko to pochodzenia zagranicznego i dlatego artykuły te, nie ustępując w elegancji wiedeńskim i paryskim wyrobom, są od nich o dwa razy droższe.

A oto fakt drugi. Od roku prawie Warszawa przypatruje się walce naszych piekarzy z przyjezdnymi turkami, którzy o sobie mogą powiedzieć: przybyliśmy, zwyciężyliśmy. Czy to skutkiem rzeczywistej wyższej wartości tureckiego pieczywa, czy też skutkiem znanej pochopności warszawiaków do wszystkiego, co nowe i modne, doś, że piekarnie tureckie robią świetne interesy, nasi zaś piekarze—od najmniejszych firm do kolosalnych piekarnianych fabryk—wszyscy utyskują na zmniejszenie obrotu. Wiemy dalej, że niektórzy piekarze zaczęli całkowicie naśladować Turków i dają jeśli nie lepszy, to stanowczo nie gorszy od tureckiego produkt; tymczasem na wystawie nie znajdujemy ani jednej firmy piekarnianej z owymi nowymi wyrobami pieczywa, któreby warszawiaków przekonaly, że my sami nie gorzej, niż Turcy, potrafimy zaspakajać swoje własne potrzeby.

Na zakończenie zauważyć wypada, że na tegorocznej wystawie miasta prowincjonalne są bardzo słabo, a właściwie prawie wcale nie są reprezentowane, co jest rzeczą tym smutniejszą, wobec przedsiębiorczości i ruchliwości jakiegoś przejezdnego kupca z kamieniami jekaterynburskimi i niejakiego p. Parszyna aż z gubernii wołogodzkiej z wyrobami rogowymi; pomimo takiej odległości i niezajomości tutejszych stosunków dostali się oni na wystawę i chociaż często muszą porozumiewać się z publicznością za pomocą mimiki, jednak dość dużo sprzedają swych wyrobów.

A. Zaw.

Z KRAJU.

Parlamentaryzm wiejski. — Wybory na wójta. — Partya w Radomiu i walka ich na scenie teatru amatorskiego. — Arystokratka radomska.

Każdemu, kto czytał „Klub Pickwicka” Dickens’a utkwiał z pewnością w pamięci komicznosatyryczny opis wyborów do parlamentu za dobrych czasów „starej Anglii”. Dziś podobne sceny widzieć można w Galicyi, tylko nie robią już one na nas takiego komicznego wrażenia, raz dlatego, że nadużycia, szeroko przy wyborach praktykowane, mają bardziej brutalny charakter, powtóre, że rozumiemy i odczuwamy lepiej, bo nas to bliżej obchodzi, jak te „figle” i komedye wyborcze wyływają na losy aktorów i całego kraju. U nas nie mamy wprawdzie wyborów do parlamentu, ale mamy za to wybory sędziów i urzędników gminnych a przy nich, w miniaturze, dzieją się nieraz te same nadużycia, rozgrywają kubek w kubek podobne sceny. Nie jeden z czytelników, nawet na wsi zamieszkałych, nie widział może nigdy wyborów na wójta, a rzadko kto z pewnością tak charakterystyczne, jak te, które opisuje korespondent *Gazety świętockiej*. Żałuję mocno, że brak miejsca nie pozwala mi przytoczyć in extenso tego z wielu względów ciekawego a z wielkim talentem, z humorem chłopskim dokonanego opisu, postaram więc przynajmniej przytoczyć wybitniejsze ustępy.

Jak wykwalikowany powieściopisarz autor zaczyna rzecz od końca, od wiadomości efektywnej, że „w dniu 30 grudnia do naszej gminy (Sokory (?) w gub. kieleckiej) przyjechał naczelnik powiatu i odebrał urządowanie wójtowi, a to z powodu nadużyc, jakich się ten dopuszczał”. „Gmina jest z tej zmiany zadowolona” dodaje, ponieważ zaś zadowolenie wyborców z usunięcia wójta, którego zaszczycił swem zaufaniem, może wydać się czytelnikom dziwnem—opisuje w jaki to mianowicie sposób wójt obrany został.

„Każdy z nas oczekiwał dnia wyborów, żeby obrać wójta nowego. Nareszcie zebrała się gromada przed kancelaryją, zaczynamy radzić o tem, kogo obrać, żebyśmy już mieli gotowego, kiedy do głosowania przyjdzie. Nikt nie chciał i słuchać o starym, wszyscyśmy mieli krzyczeć od razu: ten a ten, i już. Ale nie tak się stało, jakeśmy zamierzali.”

Stary wójt, Zacheusz Płacz miał kilku stronników między chłopami a jak się później okaże, i szlachta była dlań życzliwą. Oprócz tego „podkupił” dwie wsie, wystawił im bowiem dwa garnce wódki i obiecał, że przez trzy lata nie będą składać pieniędzy na wójta.

„Kiedyśmy już stali kilka godzin na dworze”, parlamentarnie pisze korespondent, „po południu, z ganku kancelaryi zapytano nas włościan: kogo sobie wybieracie na wójta, pewnie starego? Jak tylko ludzie usłyszeli te słowa: od razu zaczęli na odcinkę krzyczeć: nowego, nowego, nowego”. Parę minut trwały te krzyki, wreszcie „uciszono” je (zwracam uwagę na dyskrecyję wyrażen) i „powiedziano” kto na nowego na jedną stronę, kto na starego—na drugą.

Jak ludzie stanęli, „od razu było widać, że ta nasza, nowa strona trzy razy większa”. „Ci, co stali na ganku, weszli do urzędu, a potem wychodzą znowu na ganek a między nimi wójt, pisarz, panowie i nauczyciele”. Pisarz zaczął czytać listę tych, którzy mają prawo do głosu. Z tych wsi, które nie chciały starego wójta, bardzo niewielu gospodarzy podano do głosu, z jednej np. zamian 77 tylko 25. Ale ludzie prędko się pomiarkowali i zaczęli krzyczeć, broniąc tym sposobem swych praw obywatelskich. Więc znowu nieosobiście „kazano dopisywać opuszczone nazwiska”.

Wtedy, widząc że źle z nim, wójt schwylił się innych „przebiegów”. Gdy pisarz skończył czytanie, stronnicy wójta mieli iść do jednego ogródka przy gminie, przeciwnicy do drugiego. Do tego ostatniego nie pozwolono przelazć przez baryjere, a do pierwszego szedł każdy, jak chciał. „Kto chciał iść do tego pilnowanego ogródka, pisarz go zapytywał: a ty dokąd, na starego czy na... I już nie skończył tych słów, bo wójt mówił: ponieważ ty na starego... No i ten, co pilnował wejścia do ogródka, już tam idącego nie wpuszczał, a wójt, nie dając mu przyjsć do słowa, ręką go odpycha, nogą stycha a oczami mruga”. Trzeba było nie małej cywilnej odwagi, żeby się temu oprzeć, tym bardziej że i starsi bracia a przewodnicy popierali dawnego wójta. „Ktoś z większych” (opuszczono właścicieli) na swoich włościan głową kiwał i oczami mrugał, żeby na tę stronę przechodzili, a chłopci się bali, żeby im koni nie zajmował i musieli iść na stronę starego”. Mielili się bać czego, bo jak się okazało, wójt zmówił się z dziedzicem i „posłał do dworu, żeby zajęto pasące się bydło”. „I chociaż nigdy go nie zajmowali, to w ten dzień, gdzie tylko co było, wszystko pozajmowano, żeby się tylko chłopci z zebrania porozlatywali”. Używano nieraz bardziej energicznej represyi, krzyczącym na nowego wójta grożono kozą, a jednego z opozycjonistów posadzono nawet na parę godzin do aresztu. Przy głosowaniu użyto takiego fortelu: zwolenników starego wójta po oddaniu głosów wypuszczono z ogródka, poczem z ganku wołano ich do kancelaryi i ztamtąd oknem wpuszczano znowu do ogrodu, gdzie powtórnie głos oddawali. Dodać trzeba, że manipulacja ta odbywała się wobec przedstawicieli inteligencji, którzy siedzieli w urzędzie. Jakiś włościanin dostrzegł oszustwo i zaprotestował, ale już 12 głosów „przeszwarcowano”.

Czytelnikowi te fortele wyborcze mogą się wydać bardzo naiwnymi, niestety jednak zapominając, że nawet przy wyborach parlamentarnych używają również prostych środków. W Galicyi np. unyślnie wynajęci żydziacy wszczynają na ulicach bójki z wyborcami opozycyjnymi, policya zaś tych ostatnich na czas głosowania pakuje do kozy za zakłócenie porządku publicznego. Zresztą dzisiejsze fortele są o wiele więcej skomplikowane w porównaniu ze sposobami głosowania, używanymi jeszcze niedawno. Wtedy kierownik zebrania mówił po prostu: kto na starego wójta, niech stanie po prawej, kto na nowego—po lewej stronie; poczem odwracał się, a ci, co byli po prawej ręce, okazywali się po lewej i odwrotnie. Dzisiaj taki pierwotny wybieg już nie uchodzi, co świadczy, że bądź co bądź samodzielność wyborców wzrosła. Dowodzi tego również fakt, że bronią, a przynajmniej usiłują bronić swych praw, jak widać z przytoczonego wyżej opisu. Walka stronnictw zaostrza się i wyjaśnia, reformatorzy spotykają przeciwników nietylko między pijakami i płatnymi

obroncami prywaty, ale i między pp. dziedzicami, którzy widocznie i w gminie chcą reprezentować pierwiastek „zachowawczy”, popierają więc wójtów starego autoramentu...

Jeżeli w drobnej gminie wiejskiej istnieje walka partyi, to cóż dziwnego, że wre ona np. w takim Radomiu, który jest przecie miastem gubernijalnem. Ścierają się tam wśród inteligencji dwa stronnictwa: arystokratyczne i demokratyczne.

Pierwsze, pomimo nazwy, nie odznacza się bynajmniej świetnością pochodzenia, owszem w znacznej części składa się z potomków rzemieślników, restauratorów, woźnych i t. d. Potomkowie ci albo odziedziczyli „kapitalik”, albo trafem schwycili jakiś urzędzik i dochrapali się awansów i honorów. Z prawdziwą arystokracją ma jednak tyle wspólnego, że pyszni się i zadziera nosa wobec demokratów i że lęka się wszelkiej myśli śmielszej, wszelkiej działalności na pożytek ogółu.

Do „demokracji” zaś zaliczają w Radomiu tych wszystkich ludzi, którzy bez względu na wiek, stanowisko, a nawet różnice przekonań, hołdują świeższemu pojęciu, mają jakieś dalej sięgające dążenia i w miarę sił i środków pragną służyć sprawie publicznej.

Walka obu „partyi” w ostatnich czasach zawrzała najsilniej w sprawie teatrów amatorskich.

Teatr amatorski na prowincyi ma niewątpliwie znaczenie społeczne, w braku bowiem bibliotek, odczytów, stowarzyszeń naukowo-literackich i t. p. stanowi jedyną bodaj rozrywkę umysłową. Oprócz tego jest to prawie jedyny uprawniony sposób zbierania funduszków na wszelkie cele użyteczności publicznej.

Otóż w Radomiu bardzo rzadko teatr amatorski udać się może, klika bowiem pseudo-arystokratyczna, jeżeli sama nie przyjmuje w nim udziału, szkodzi „przeciwnikom”, jak może. Z tego względu np. przedstawienie urządzone na cel tak pożyteczny, jak biblioteka bezpłatna, pomimo gorliwych usiłowań inicjatorów, dało stosunkowo niewielki dochód. Mieszka w Radomiu kilku b. aktorów, ludzi, których kiedyś na deski sceniczne pociągnęło powołanie, oziębiło niepowodzenie materyjalne a losy zagnały na partykularz. Są to ludzie z talentem i doświadczeniem. Jeden z nich, radomianin, ma jednak ogromną wadę, bo jest... kupcem, dwaj inni są urzędnikami, ale znowu mają wadę, gdyż nie należą do koteryi. W teatrach amatorskich ludziom takim należałoby powierzać kierownictwo i dziękować im jeszcze za to, w Radomiu zaś, kiedy oni biorą udział w przedstawieniu, „arystokracja” urządza kontr-agitację, bez względu na cel przedstawienia. Kiedy zaś sama urządza teatr, sprowadza z innego miasta reżysera i płaci mu za to 100 rubli, chociaż, mając pod ręką siły fachowe, możnaby zupełnie obyć się bez tego wydatku.

Kiedy pragnie zorganizować przedstawienie „partyja demokratyczna”, amatorowie odmawiają udziału, chociaż nieraz mają ochotę, bo lękają się kliki. Innym razem znowu wszystkie panie odesłały role, bo dowiedziały się, że ma grać z niemi dziewczyna inteligentna, nieposzlakowana opinii, ale... magazynierka. O, bo arystokracja radomska umie pilnować swej godności, chodzi ona np. na bal rzemieślniczy, ale nie miesza się z tłumem, stoi zwykle pod filarami w sali i z tego obserwacyjnego stanowiska krytykuje głośno niezręczność tancerzy. Oto np. fakt, podpatrzony na balu rzemieślniczym. W przedpionku zjawia się pewna pani kupcowa, ale z arystokracji radomskiej. Ponieważ gospodarze wprowadzają na salę damy, do pani kupcovej podchodzi jeden z komitetowych, człowiek poważny i szanowany, tylko, na nieszczęście, rzemieślnik i ofiaruje jej ramię. Kupcowa mierzy go pogardliwie od stóp do głów, wrusza ramionami i zamiast podziękowania lub wymówki syczy tylko: *nie!* J. Nieborski.

Korespondencyje „Głosu”.

Z Ameryki.

Buffalo.

Szkoda że nie posiadam najmniejszej zdolności złorzeczenia ludziom. Mógłbym wtedy rozpisywać się należycie o przyczynach nędzy, bez-

robocia i powszechnej stagnacji, jakie tu panują. Teraz zaś muszę tylko prosić szanownych czytelników *Głosu* o przebaczenie, że przez tak długi czas nie dałem o sobie najmniejszego znaku życia; lecz nie moja w tem wina: pisać o biedzie, jak już powiedziałem, ani chcę, ani mogę, a obok tego cierpiełem jeszcze wraz z innymi proletaryuszami na największą plagę amerykańską—na brak pracy. Postanowiłem przeto opuścić niezwłocznie New-York i szukać gdzieindziej lepszej doli. W rezultacie przeniosłem się do Buffalo; co zaś tutaj próbuję i jak mi się powodzi, to przecie nie może i nie powinno nikogo interesować. Dostyc, gdy powiem, że czasu mam pod dostatkiem, że nie obawiam się śmierci głodowej a co za tem idzie, że mogę nareszcie przystąpić do spełnienia od dawna powziętego zamiaru—do podzielenia się z szanownymi czytelnikami *Głosu* szczegółami o życiu Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Proces wadowicki zainteresował opinię publiczną losom naszej emigracji. Wszystkie niemal pisma polskie rozpisują się o doli i niedoli „chłopków” w odczytanie Washingtona; lecz rozpisują się, niestety, w sposób, zdradzający kompletną nieznaną przedmiotu. I nie dziwnego: prasa nasza do ostatniej chwili zwracała bardzo mało uwagi na życie rodaków w Ameryce. Nie przypuszczam, by wszystkie razem wzięte gazety polskie miały więcej niż pięciu, stałych korespondentów na całą Amerykę; zważywszy następnie, że z tej nawet szczupłej liczby niektórzy nie chcieli, niektórzy znowu nie czuli się na siłach zabrać głosu w tak ważnej kwestyi, to rzecz naturalną być musi fakt, że o życiu tutejszej Polonii czytający i piszący, ogół w kraju wie tyle, jeżeli nie mniej, co o życiu murzynów.

Jak już powiedziałem, od dawna powziąłem chęć poruszyć sprawę emigracyjną. Brak czasu, a co więcej inne, ważniejsze powody, o których szanowni czytelnicy dowiedzą się w swoim miejscu, powstrzymywały mnie od spełnienia tego zamiaru. Dziś jednak, wobec powszechnego zainteresowania się przedmiotem, wobec przeróżnych, najczęściej fałszywych wieści, rozszerzanych po pisnacku o życiu Polaków w Ameryce, byłoby grzechem przed czytającym ogółem w kraju zachowywać nadal milczenie w tak ważnej sprawie. Stosunki tutejsze poznałem, o ile mi się zdaje, dosyć dobrze. Brak talentu literackiego myślę zastąpić prawdą, bezwzględną prawdą, co nie będzie rzeczą zbyt trudną, ponieważ do żadnego obozu nie należę, przynajmniej nie mam nic wspólnego z przeróżnymi partjami i koteryjami, na jakie się dzieli Polonja amerykańska.

Teraz zaś niech mi wolno będzie zakomunikować kilka drobnych faktów z życia amerykańskiego: najważniejszym z nich jest chyba ratyfikacja przez senat Stanów Zjednoczonych traktatu z Kanadą co do wydawania przestępców kryminalnych. Dotychczas Kanada służyła za pewne i bezpieczne schronienie dla wszystkich boodlerów¹⁾, złodziei i t. p. kryminalistów. W styczniu b. r., np. wyniosło się 26 osób, po przewiezieniu razem 900,000 dol., do raju złodziejskiego, Kanady. Rząd nasz z obawy, by połowa Stanów Zjednoczonych nie pofrunęła, tam, pośpieszył z przyjęciem traktatu kanadyjskiego względem wydalania. Drugim nie mniejszej donosłości faktem jest projekt wszechświatowej wystawy na cześć Kolumba, gdzie się owa wystawa odbędzie? Obecnie odpowiedzieć trudno: wszystkie niemal miasta Ameryki ubiegają się o ten korzystny „business”. Mniemaniem ogółu jest, że New-York zwycięży, chociaż Chicago dokłada wszelkich sił, ażeby pozyskać kongres i opinię publiczną dla siebie. O influency rozpisują się tutaj nie widzę potrzeby, dosyć gdy powiem, że nam dała się ta nieznoszona epidemija prawie więcej we znaki, niż mieszkańcom Europy.

Kilka tygodni temu najwyższy sąd st. New-York potwierdził wyrok, zapadły jeszcze przed dwoma laty, na anarchiste Jana Mosta. Na mocy tego wyroku, Most został skazany na rok więzienia za podburzającą mowę, jaką miał w przeddzień stracenia anarchistów chicagoskich. Od tego wyroku apelował on, lecz bezskutecznie.

Prasa kapitalistyczna domagała się potępienia niebezpiecznego apostoła, a przytem chciano też usunąć człowieka, który mógłby się stać niebezpiecznym w czasie tegorocznej kampanii o 8-mio godzinny dzień roboczy. Jeżeli sąd powodował się rzeczywistie pobudką ostatnią, to dowodziłoby to strasznej niekompetencji naszych pp. prokuratorów. Most bowiem jest zawziętym przeciwnikiem ośmiogodzinnego fruchu i, pozostając na wolności, raczej szkodziłby całej agitacji. Jakkolwiekby miał wędrować do kozy a że ostatecznie nie powódował—winić o to nie można policyi i sądu, bo pani doktorowa Hoffmanowa pomieszała im szyki, składając 5,000 kaucyi za Mosta i dając mu w ten sposób możność dalszej apelacji. Skorom wszedł raz na tak niebezpieczny temat, jak rozprawa o Moście, to nie mogę się powstrzymać, by niepowiedzieć cokolwiek i o innych jego towarzyszach, mianowicie o anarchistach chicagoskich. Otóż pewien sędzia odnalazł jakiś błąd w ich procesie. Dzięki temu otrzymają oni pozwolenie podać skargę jeszcze raz, chociaż do tego, mojem zdaniem, nie dojdzie: uniewinnienie ich byłoby strasznym policzkiem dla sądu i obrońców; przeto pp. adwokaci dołożą wszelkich starań, by trzej anarchiści:—Fielden, Neebe i Schwab—zostali wypuszczeni z więzienia w drodze łaski przez gubernatora st. Illinois. Kto jednak przywróci życie pięciu ofiarom tak strasznej, a tak błędnej sprawiedliwości?

Na zakończenie słowo o zajściach wstrętnych, powód do których dali, niestety, nasi rodacy w Buffalo: w miesiącu tem mamy 2 kościoły polskie i 2 klasztery. W pierwszych rządziło i wyszukiwało ciemny ludźk aż pięciu księży; klasztery znowu przepełnione są t. zw. siostrami. Otóż, proboszcz parafii św. Stanisława, ks. Pitass, rozpoczął wojnę z ks. Klawiterem, proboszczem parafii św. Wojciecha.

Powód do walki był następujący: ks. Pitass zdobył sobie najsłuszniej w świecie miano pijawki ludu; wyszukuje on go bowiem niemiłosiernie na korzyść swych *nader blizkich* krewnych, gospodyń i t. p. Ks. Klawiter umiał także groźbą i kłatwami wydobywać z kieszeni swych bliźnich dolary, lecz pieniądze te obracał na szkołę, odzież dla biednych, książki dla dzieci niezamożnych rodziców, słowem, lubił bawić się w filantropiję. Przytem miał on wielką słabość uprzyjemniać w rozmaity sposób życie swojej owczarni: urządzał przedstawienia amatorskie, strzelnice, tuż koło plebanii budował łaźienki, z których mogli korzystać bezpłatnie parafianie i t. d. Wszystko to nie mogło podobać się ks. Pitassowi. Dzięki swoim wpływom i bogactwu—ma on przeszło 200,000 dol. w banku—udało mu się nareszcie pozyskać biskupa—irlandczyka, niejakiego Ryana, i usunąć rywala. Ks. Klawiter, otrzymawszy rozporządzenie biskupa—przenieść się do Dunkirk, natychmiast opuścił Buffalo; lecz na tem sprawa się nie skończyła; parafianie św. Wojciecha, obrażeni podobnym postępkom biskupa stawili opór; przysłanego ks. Pawlera swoim proboszczem uznać nie chcieli. Ks. Pawler, którego roztropność „kapłańska” jest do podziwienia, wybrał się d. 2 lutego na nabożeństwo do „swojej parafii” z eskortą z 200 policyjantów złożoną i z kilku patrolowymi wozami.

Skutków wyprawy opisywać nie chcę. Wystarczy przytoczyć artykuły o niej z któregośkolwiek bądź z tutejszych pism, ale są one zbyt nieprzyjemne dla ucha polskiego...

Komunikuję przeto szanownym czytelnikom artykuł, jaki znalazłem w *Chicago Tribune*. Pismo to traktuje rzecz całą dosyć spokojnie: „za rozkazem biskupa Ryana chciał ks. Pawler odprawić dzisiaj rano nabożeństwo w kościele św. Wojciecha. Uwiadomił więc policyję poprzednio i przeszło 200 policyjantów zostało mu przysłanych na pomoc. Księżdz, siedzącego w karcie, eskortował do kościoła cały kordon uzbrojonych tajnych policyjantów. Przybywszy przed kościół, znaleźli tam do 2,500 polskich niewiast i dziewczyn. Mężczyźni stali po drugiej stronie ulicy i przypatrywali się scenie. Policyjanci mieli polecenie, aby nie uderzali na kobiety pałkami, lub pięściami. Bitwa się rozpoczęła. Niewiasty polskie walczyły jak rozjątrzone tygrysy, odpychając policyjantów od bramy przemocy. Nareszcie policyjanci rozbili barykadę i otoczyli niewiasty, które wtenczas,

dobycy soli i pieprzu, zasypywały oczy nastpnikami; przyczem drapały, kasały, kopały ich i robiły niezmierny wrzask. Przybycie księdza było znakiem większego rozruchu. Niewiasty rzuciły się na karete, skoczyły na plecy proboszcza, a jedna z nich, która była naczelniczką, schwyciła go za gardło. Potrzeba było 4-ch policyjantów, aby uwolnić ofiarę z jej rąk. Wtem zaczęli także mężczyźni rzucać kamieniami. Pałki policyjantów wnet ich atoli rozpedziły, niektórzy poszli do domu z potłuczonymi głowami i nosami. Dziewięciu aresztowano. Policyjantowi Lyonsowi wywichnięto ramię, sześciu lub siedmiu policyjantów otrzymało mniej lub więcej niebezpieczne rany. Naczelniczka polek została niebezpiecznie ranioną. Przeszraszonego księdza ocalono; odzież jego była zbrukaną i podartą. Tłum rozszedł się spokojnie, skoro ksiądz odjechał... W dalszym ciągu *Chicago Tribune* zapytuje się, jakim prawem użyto policyi miasta Buffalo, w celu narzucenia Polakom niepożądanego dla nich księdza, oraz wyraża swe zdziwienie z powodu naiwności parafijan kościoła św. Wojciecha, którzy wysłali delegacyję do Rzymu, w mniemaniu, że otrzymają tam satysfakcyję. Zdaniem *Chicago Tribune*, jedyną racjonalną odpowiedzią na samowolę i niesprawiedliwość biskupa byłoby utworzenie „wolnego polskiego kościoła” na wzór kościoła ks. Kolasińskiego w Detroit¹⁾.

L. Dewoyna.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu”). Najważniejszym dziś wypadkiem dnia jest u nas pożar fabryki Poznańskiego. Pożar ten powstał w zeszłą sobotę wieczorem podczas czyszczenia maszyn, przez nieostrożność pracujących. W chwili wybuchu ognia robotnicy zajęci byli pracą, zdołali jednak ujsć przed niebezpieczeństwem, z wyjątkiem jednego, którego strażacy musieli wynosić przez okna z czwartego piętra z narażeniem własnego życia. Nazwiska tych dzielnych strażaków warto zachować w pamięci ogółu, są nimi pp. Józwiak, Kantor i Schörer. Straty, spowodowane pożarem, wynoszą coś miljon rubli. Przy pożarze okazało się, że w fabryce nie było drabin ratunkowych, że okna były zakratowane i nie otwierały się wcale, co utrudniało ucieczkę oknami i że ilość schodów nie była wystarczającą. Dalej, fabryka była oświetloną gazem, co w przedalnicach przedstawia wielkie niebezpieczeństwo, a przytem płomienie były bez kłosów. Kilkunastu robotników zostało poparzonych. Skutkiem pożaru pozostało bez zajęcia około 1,600 robotników, a na kilka dni przed tem pożar fabryki p. Prinza pozbawił zajęcia 100 osób. To też nie dziwnego, że robotnicy chodzą u nas teraz całymi gromadami i żebrzą.—Niedawno jeden z agentów pewnej fabryki tyfliskiej zaangażował u nas kilkunastu tkaczy do Tyflisu, którzy już wyjechali na miejsce. Przed kilku laty miał miejsce podobny fakt i skończyło się na tem, że po kilku miesiącach robotnicy o żebranym chlebie powrócili do Łodzi. Wówczas ktoś wystąpił z projektem zebrania dla nich składek, ale *Tageblatt* silnie napadł na ten pomysł, dowodząc, że kiedy im źle było w domu, to niech teraz pokutują. Oby i teraz podobnie się nie skończyło.—Jedną z naszych fabryk wstążek przynosi się do Rygi, co dowodzi, że fakt ucieczki przemysłu kresowego staje się coraz powszechniejszym.—W fabryce p. Poznańskiego zdarzył się następujący wypadek: jeden z robotników, wyszedłszy na podwórze, zabrał się tam dość długo rozmową z jakąś dziewczyną. Kolega jego doniósł majstrowi, że ów robotnik za długo siedzi na podwórzu. Za powrotem oskarżonego wszczęła się między obu robotnikami bójka, rezultatem której była śmierć oskarżyciela, zabitego na miejscu.—Sądy przepelnione są obecnie sprawami, wytaczanymi przez właścicieli domów robotnikom o należne komorne.—Kapitał zakładowy 13 gminnych kas wynosi 16,345 rs. 51 kop., największy w gm. Górki (7,375 rs. 7 kop.), najmniejszy w gm. Rszew (600 rs.). W r. z. kasa w gm. Górki wydała pożyczek na 33,345 rs., w gm. Gospodarz na 20,929 rs., w gm. Aleksandrów na 15,913 rs., w gm. Rszew na 14,875 rs. Najmniej pożyczek udzielono w gm. Czarnocin, gdyż tylko na 3,185 rs. Wogóle zaś zwrócono 63,081 rs. Na lokatę bezprocentową złożono 1,073 rs., 45 kop., na procent

¹⁾ Ks. Kolasiński gdy go biskup chciał kilkanaście miesięcy temu przenieść z Detroit (st. Michigan) do innej parafii, stawiał opór, następnie wypowiedział posłuszeństwo Rzymowi i utworzył „wolną polską gminę”. Gmina ta rozwija się doskonale, pieniądze zamiast do Rzymu, biskupów i t. p., idą na szkoły i domy dla ubogich.

¹⁾ Boodler—urzędnik defraudant, złodziej grosza publicznego.

13,465 rs. 67 kop., z kar administracyjnych i t. p. wpłynęło 3,809 rs. 48 kop., kapitałów należących do małoletnich, złożono 21,382 rs. 15 kop., z procentów od pożyczek wpłynęło 7,265 rs. 19 kop., z kar za nieregularne spłacanie pożyczek 77 rs. 86 kop. Odebrano wkładów procentowych 3,142 rs. 89 kop., wypłacono procentów od takich wkładów 1,199 rs. 42 kop. Utrzymanie kas kosztowało 1,424 rs. 52 kop. Na początku r. b. gotówki było w kasach 4,014 rs. 9 kop. Dochodu czystego w r. z. osiągnięto 3,614 rs. 38 kop., od początku zaś działalności kas 29,380 rs. 58 kop. — Konkurs, ogłoszony przez oddział łódzki towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na napisanie podręcznika podatkowego, został rostrzygnięty. Z czterech nadesłanych prac nagrodzone dwie po 400 rs. i z obu tych prac ma być ułożony razem jeden podręcznik, który zostanie najprzód wydany w języku polskim, a następnie w rosyjskim i niemieckim. Autorem jednej z prac nagrodzonych jest p. Stanisław Domański, drugiej zaś pp. K. i O. — Na zakończenie opowiem wam zabawny wypadek. Żona jednego z tutejszych fabrykantów, polka, od kilkunastu lat mówiła w domu tylko po niemiecku. W tych dniach została tknięta apopleksją, po wyleczeniu się z której zapomniała zupełnie języka niemieckiego i dziś zmuszoną jest mówić po polsku.

Pracownik.

Sielec. (Kor. „Głosu”). Kopalnie węgla kamiennego w Sielcu należą do „gwarectwa hr. Renarda.” Nieporządków i nadużyć w tych kopalniach opisywać nie będzie, bo by się to na nic nie zdało, gdyż za parawanem prawa wszędzie i zawsze wszystko robiono i będzie się robiło. W Sielcu eksploatują trzy pokłady: 1) Reden do 14-m grubości; 2) Andrzej 1,6-u i 3) Matylda około 2,0 m. Prócz tego w Dębowej górze na kopalni Joanna eksploatują pokład „Eufemii” do 1,0-m grubości. Wszystkich robotników na wspomnianych 4-ch pokładach pracuje około 2,000. Większość stanowi przybysze z Górnego Ślązka i Galicyi, resztę miejscowi z Sielca i okolic różnych krajów. Urzędnicy są przeważnie Niemcy, z Polaków mamy tylko pięciu urzędników, z których jeden, zdaje się, grubo, jak to mówią, zniemczony. Zarobki górniczy mają średnio, od korca wydobyczego węgla 4—7½ kop. Dziś, gdy nałożono oło na proch i dynamit zagraniczny, grozi górnikom zwieszenie nędzy i tak niemałej. Cła od funta prochu nałożono 4,1 kop. złotem, od funta dynamitu 9,6 kop. złotem. Zarobek górnik, licząc średnio, zmniejszy się przez to na jakie 20—25 k. dziennie. Co prawda, w Szlisselburgu pod Petersburgiem jest fabryka prochu i zdaje się, żeby się opłaciło sprowadzać proch ztamtąd z krzyżką dla robotników, ale proch tamtejszy, choć jest mocniejszy, wiele wydaje smrodu, od którego głowa boli. Fabryki dynamitu w Rosyi nie ma, trzeba więc sprowadzać nadal z zagranicy. O towarzystwach, ubezpieczających byłt na starość robotników, pomówię w oddzielnym artykule. *Jotaszet.*

Będzin. Korespondent *Kuryera warszawskiego* donosi, że nowe rozporządzenie o gruntach miejskich, które leżą po za właściwym obrębem miasta, a mianowicie, iż winny one być uważane za grunta wiejskie i jako takie podlegają ukazowi marcowemu—znalazło już zastosowanie w Będzinie. Pod miastem tem, a na gruntach miejskich pp. Hultschinsky i sp. chcieli zbudować wielkie piece i walcownię żelaza, odmówiono im jednak, jako cudzoziemcom.

Sosnowice. Do *Gazety warszawskiej* donoszą, że rozeszła się w Sosnowicach pogłoska, która, o ile korespondent sprawdził, pochodzi z wiarogodnego źródła, iż cała własność nieruchoma Gwarectwa Kramstów, hr. Renardów i Kuźnickiego przeszła na własność towarzystwa kapitalistów rusko-belgijskich. Własność tę, którą co do przestrzeni w przypuszczeniu obliczają na blisko milę kwadratową, stanowią: prócz dobrze pod względem rolnym zagospodarowanych majątków ziemskich: Sielec, Gzichów, Zagórze, Niwka, Milowice i t. d., oraz obszernych lasów ze starodrzewiem, najpoważniejsze w okręgu górnozym dąbrowskim bogactwa kopalniane. Należą tu zatem kopalnie węgla: Renard, Niwka, Milowice i t. d., kopalnie rudy żelaznej, kopalnie i piece wapienne, młyn parowy w Sielcu, dający dochodu rocznie około 90,000 rs., browar, piekarnia i inne zakłady przemysłowo-rolnicze, jak gorzelnia i t. d. Wartość dokonanej transakcji szacują na 15,000,000 rs., bliższe szczegóły nie są znane, fakt jednak sprzedaży poczytują w Sosnowicach za niepodlegający żadnej wątpliwości. Dalej korespondent mówi, iż zakłady te prawdopodobnie teraz się ożywią, gdyż od ukazu marcowego 1887 r. cudzoziemcy stracili na energii i przedsiębiorczości.

Kijów. (Kor. „Głosu”). Kontrakty już się ukończyły—w dniu zamknięcia ruch się nieco ożywił, wogóle jednak, jak już o tem donosiłem, ożywienie było bodaj czy nie słabsze, jak za lat poprzednich. Narady ziemiańskie w znacznej mierze nie wychodzą po za ramki akademickich rozpraw, a o wpływie takowych na sprawy rolnicze przy współistnieniu tysięcy paraliżujących prawidłowa

działalność warunków, wiele dałoby się powiedzieć. Ruch przemysłowy ograniczał się u nas przeważnie do cukrownictwa. Obecnie zawiązało się na Wołyniu towarzystwo z marszałka szlachty pod kierownictwem gubernijnego miejscowych bogactw mineralnych. Towarzystwo zamierza urządzić na szeroką skalę fabryki surowca i żelaza, oraz dla ułatwienia eksploatacyi przeprowadzić całą sieć dróg żelaznych pobocznych. Ustawa towarzystwa akcyjnego i plan kolei, wysłano już do Petersburga w celu uzyskania zatwierdzenia władz wyższych. — Dziś (16-go Marca) znany profesor Warszawskiego uniwersytetu p. Lnbowicz ma bronić rozprawy: *Początek reakcyi katolickiej i upadek reformacyi w Polsce* dla otrzymania stopnia doktora historii powszechnej. Obrona odbędzie się w sali uroczystych posiedzeń kijowskiego uniwersytetu, oponentami z urzędu wyznaczeni są profesorowie J. W. Łuczyckij i W. B. Antonowicz. — Kontrybucya na majątki polskie w gubernii kijowskiej stosownie do zatwierdzenia władz wyższych wynosi na bieżące trzechlecie 223,914 rs., a mianowicie: powiat kijowski będzie płacił około 5,000 rs., czerkaski 7,600 rs., czehyrński 8,000 rs., zwinogradzki 13,800 rs., radomski 14,900 rs., humański 17,200 rs., kaniowski tyleż, lipowiecki 28,700 rs., skwirski 26,000 rs., berdyczowski 28,000 rs., tatarszczański 29,000 rs., i wasylkowski przeszło 32,000 rs. — Oddając niniejszy list na pocztę, otrzymałem wiadomość o śmierci dyrektora cukrowni w Sokółowie Henryka Wizbecka, który, bawiąc dla kuracyi w Warszawie, zmarł tamże na suchoty płuc. Była to osobistość wybitnie różniąca się od pp. dyrektorów zwykłego a znanego szablonu. Umysł szeroki, charakter niezmiernie prawy, co zaś najważniejsze, posiadał zmarły wysoką zdolność odczuwania nędzy ludzkiej, oraz obcą filistrom odwagę bronięcia interesu podwładnych wobec pracodawców, którzy jednocześnie byli bezpośrednią jego władzą. Pod względem wewnętrznych urządzeń i względnego dobrobytu robotników i oficjalistów, Sokółówka stanowiła prawie wyjątek w naszych stronach, wszystko zaś to zawdzięczała nieboszczykowi, który, zwłaszcza wśród podwładnych, zostawił dobrą a zupełnie zasłużoną pamięć człowieka—dobrej woli.

Semen Ikwa.

Dorpat. (Kor. „Głosu”). Dla ilustracyi bałtyjskich gerichtów (sądów) przytoczę wymowny fakt, że obecnym sądom pokoju przekazały one w spuściznie... kilka tysięcy spraw nie rozstrzygniętych. Dawno niektórych spraw sięga panowania Katarzyny II-iej! Taka obfitość spraw przyczyniła nie mało kłopotu teraźniejszym sędziom, nie tylko swoją pokazną ilością, lecz i wskutek tego, że sprawy te trzeba rozpatrywać według prawa miejscowego, z którym sędziowie-rosyjanie są zupełnie nie oznajmieni (prawo miejscowe wykładano tylko w Dorpacie). Roztrząsając zaś te sprawy na zasadzie prawa ruskiego, jak to chcą zrobić nowi sędziowie, nie zawsze można bez krzywdy dla stron procesujących się. Nie małą trudność robi, jak nowym sędziom, tak i mieszkańcom tutejszym, niezajomość języka: pierwszym—miejscowego, a drugim—ruskiego, gdyż tylko w tym języku przyjmowane są skargi do sądu. Nieznajomość języka utrudnia, a w wielu razach i uniemożliwia wcale sędziemu przy pomocy tłumacza - lokaja lub stróża dokładnie wysłuchać procesujących się i w końcu trudność ta doprowadzi do tego, że sprawy będą rozstrzygać się tylko na zasadzie piśmiennych dokumentów, jak to miało miejsce za starych sądów, z tą różnicą, że dawniej skargi można było podawać w jakim kto chciał języku, a teraz tylko w ruskim. *Zero.*

Petersburg. W d. 9 marca odbyło się nader uroczyste doroczne posiedzenie Towarzystwa słowiańskiego. Bohaterem dnia był prezes skupczyny serbskiej, Pasicz który wypowiedział uczucia miłości i wdzięczności Serbii do Rosyi. Zgromadzenie wybrało go na członka honorowego. — W ciągu r. z. towarzystwo liczyło 378 członków rzeczywistych, 60 dożywoć i 37 honorowych. Kapitał zakładowy wynosi 91,482 rs. zapasowy 114,952 rs. Oprócz tego towarzystwo rozporządza funduszami, mającymi cel specjalny. W ciągu roku towarzystwo miało 36 stypendystów i 4 stypendystki. — Tegoż dnia odprawione zostało, jak co roku, żałobne nabożeństwo za ukraińskiego wieszca, Tarasa Szewczenkę. — Tegoż dnia w bardzo pomyślnie rozwijającej się szkole dentystrycznej Ważyńskiego rozpoczęły się egzaminy publiczne, do których przystąpiło 11 uczniów i tyleż uczennic. — Niemcy tutejsi w ciągu 3 dni święcili 50 letni jubileusz towarzystwa śpiewackiego *Liedertafel*, którego procesem jest dr. Schmidt, rektorem zaś prof. konserwatorium Czerny. Masa deputacyj przybyła z tych wszystkich miast Rosyi, gdzie są towarzystwa podobnego rodzaju, a nawet i zagranicy. Dzień trzeci nosił tytuł „męskiego, humorystycznego”, ponieważ tylko mężczyźni byli dopuszczeni. Po śniadaniu, 1½ godziny przeznaczono specjalnie na picie piwa, przywiezionego umyślnie w tym celu z Monachium. Wypito 3,658 kufli. Koncert, wydany przez towarzystwo, cieszył się wielkim powodzeniem. Chór (męż-

ki) śpiewa istotnie artystycznie. — O Antonijusz umieścił w *Nowostiach* odpowiedź prof. Solowjewowi, w której powiada, że nie utrzymywał wcale, jakoby prof. S. formalnie zerwał z kościołem wschodnim, lecz poddał krytyce dwie jego tezy; a mianowicie 1) o podległości państwa kościelowi; 2) o supremacyi i nieomyślności papieża. Tezy te stanowią zasadniczą myśl dzieła prof. S. „La Russie et l'église universelle” i, zdaniem uczonego teologa, sprzeciwiają się duchowi objawienia. — Ciekawych rzeczy można się było dowiedzieć na ostatnim posiedzeniu towarzystwa „ochrony zdrowia.” Dr. Triwus opowiadał, że lekarze na podstawie wiadomości o pomyślniejszym jakoby przebiegu szkarlatyny i dyfterytu przy róży, poczęli ostatecznie szczepić tę chorobę chorym. Z badań dr. Tr. okazuje się, że, przeciwnie, szkarlatyna i dyfteryt, skomplikowane różą, prowadzą zawsze do śmierci. Z tego powodu dr. Tr. sądzi, że doświadczenia podobnego rodzaju na pocyjentach powinny być zakazane. — Na posiedzeniu „kustarnego” wydziału towarzystwa popierania przemysłu p. Stange odczytał referat w kwestyi dostarczania kustarom obstalunków państwowych. Ministerya wojny i marynarki robiły już próby. Pierwsze z nich obstałowało partyję butów za pośrednictwem uwooskolskiego ziemstwa (o czem w swoim czasie pisaliśmy już w *Głosie*), drugie zaś za pośrednictwem inżyniera górniczego chciało dać zamówienia „kustarom” z Pawłowska. Obstalunek ten jednak dostał się do rąk fabrykantów, którzy sami go uskutecznili. Odczyt p. St. wywołał ożywione debaty w kwestyi pośredniczenia między rządem a „kustarami.” Niektórzy podnosili myśl zwrócenia się do miejscowych fabrykantów, jako najlepiej znających warunki danej okolicy. Za pośrednictwem należałoby im, naturalnie, udzielić stosowne wynagrodzenie. Prof. Isajew podniósł niewłaściwość tej propozycyi i dowiódł, że najstosowniejszym powierzył pośrednictwo instytucjom samorządu miejscowego. Dla szczegółowego zbadania kwestyj, jakie mianowicie obstalunki mogłyby być powierzone „kustarom” i t. d., ma być wybrana specjalna komisya. — Założone w 1888 r. Towarzystwo antropologiczne pomimo głośnych imion członków vegetuje zaledwie. Członków jest 73-ch. Dochód roczny wynosi 149 rs. W ciągu roku odbyły się 3 posiedzenia, na których odczytano 4 referaty.

Biała Cerkiew, gub. kijow. Do *Słowa* piszą co następuje:

Uplywa obecnie dziesięciolecie istnienia w Białej-Cerkwi „Banku wiejskiego imienia hrabiny Aleksandry Branickiej”. Bardzo pożytecznej instytucyi tej należy się więc choć pobieżna wzmianka. Aleksandra Branicka, umierając w roku 1838, przeznaczyła odsetki od miliona rubli asygnacyjnych, jako funduszu wieczystego na zapomogi dla włościan, ówczesnych swych poddanych w starostwie biało-cerkiewskim, oraz w dobrach Bogusławszczyzna, Niżyłowice, Unin, Olszana, Kumejki i t. d., razem 226 wsi ze stu tysiącami mieszkańców płci męskiej. Po reformie włościańskiej w 1861 r. wnukowie ofiarodawczyni, którzy, jak i ich ojcowie rozporządzali dotąd procentami i udzielaniem pomocy wieśniakom, złożyli cały kapitał 285,770 rubli srebrem w kijowskim wydziale Banku państwa i poczynili jednocześnie kroki u rządu o otwarcie instytucyi kredytowej dla włościan. Zgromadzone przez długi szereg lat odsetki w sumie 91,208 rs. 39 kop. zostały użyte na zakładowy kapitał Banku, który rozpoczął czynności 1 stycznia 1880 roku. Z dniem zaś zatwierdzenia przez p. ministra skarbu ustawy (20 czerwca 1875 r.) procenty od nietykalnego kapitału miały być corocznie rozdzielane na dwie równe części, jedna na urządzanie kas pożyczkowo-wkładowych, a druga—na zakładanie szkół w każdej niemal wiosce, należącej kiedyś do hojnej i wdzięcznej za trudy swych podwładnych filantropki.

Bank wiejski przyjmuje wkłady, eskontuje weksle i dopełnia innych czynności; najważniejszem wszelako zadaniem jest niesienie włościanom pomocy w formie dogodnych pożyczek dla wyzwolenia ich z rąk starozakonnych lichwiarzy, korzystających zwykle prawie z połowy zarobków ludności nie tylko wiejskiej, lecz i wiejskiej. Cel ten użyteczny osiąga się coraz bardziej, skoro zakres działalności banku, jak świadczą sprawozdania, rozszerza się z każdym rokiem; jest więc wszelka rękojmia dalszego tak doniosłej instytucyi rozwoju. Operacje banku prowadzi rada zawiadowcza, złożona z czterech członków; jednego z nich obiera kijowski gubernator, drugiego włościanie biało-cerkiewscy, trzeciego każda z kolei gmina, a czwartego—wylącznie potomkowie fundatorki Branickiej; z spośród tych czterech członków, preresa rady wyznacza generał-gubernator kraju południowo-zachodniego.

Z ZAGRANICY.

Kraków. Akcyja ratunkowa dla głodnych włościan postępuje nader żółtym krokiem, pomimo uroczystych apostrof do krakowskiej publiczności, rzekomo niesłychanie poohopnej do składania ofiar na ołtarzu nędzy. Odez-

wy dzienników nie zdołały podbić ani serc niewiast, rozkochanych przeważnie w afrykańskich murzynach, ani rozczulić brzydkiej połowy rodu ludzkiego, która się znowu roznamiętniła do jubileuszomanii. Straszna to, do prawdy, i zakaźna u nas choroba, a szkodliwsza niezawodnie od influenzy. Co kilka tygodni niemal przywdziewać nam całą uroczystą szatę, śpiewać wspaniałe kantaty, wreszcie przy kieliszku apoteozować zasługi jubilata. Niech mnie nikt nie posądzi o to, jakobym chciał odmówić obchodzącym 25-lecie lub 30-lecie swej zawodowej czy obywatelskiej pracy pewnych zasług w tym albo owym położonych kierunku. Bynajmniej. I p. Kieszkowskiemu, dyrektorowi Tow. ubezpieczeń za uciążliwą, a wytrwałą pracę należy się uznanie i Juljuszowi Kossakowi, a może nawet więcej szan. profesorowi Maciejowi Jakubowskiemu, założycielowi szpitala dla dzieci w Krakowie i Rabce—ale obchody, mające być niby ilustracją powszechnego uwielbienia i sympatii dla jubilatów, nie powinny nościć na sobie piętna jakiegś niedomiaru niesmacznej szopki, która polega na namiętnym toastowaniu i wychylaniu kieliszków. Przypuszczam nawet, że ta błaha forma, to stereotypowe łączenie zasług z kultem Bachusa—uwłaszcza niejako powadze ludzi, ku caci których urządza się jubileusz. Wracając raz jeszcze do uczczenia zasług prof. Jakubowskiego, który potrafił sobie zjednać sympatję młodzieży przez życzliwe i taktowne postępowanie, zaznaczyć wypada, że na rzecz utworzenia funduszu jubileuszowego im. prof. Jakubowskiego dla biednych dzieci płyną dość znaczne datki.—W nadziei, że mi czytelnicy „Głosu” za złe nie wezmą, jeśli nad koncertami „przechadzkowymi” ratami „głodowymi”, jednodniówkami i mającymi zbawić ludzkość rekolekcyjnymi „konferencyjami” ks. Załęskiego przejdę do porządku dziennego, chociaż pod koniec zaznaczyć oburzenie „Czasu” z powodu odczytu Maryi Konopnickiej o Mickiewiczowskiej „Odzie do młodości”. Znana poetka tak scharakteryzowała społeczne znaczenie utworu wieszca: W „Odzie”—jest protest przeciw racjonalizmowi, szerzącemu się wówczas. Dzieło Adama propaguje szczęście ogółu; idzie o to, aby samolubów wygubić, bo oni szkodzą społeczeństwu, aby się zjednoczyć we wspólnym celu, t. j., w połączeniu nie wyłącznie uprzywilejowanych jednostek, ale prostych żołnierzy. Złe w społeczeństwie pochodzi ze zwątpienia, które ogarnia umysły, zwątpienia, płynącego nie z wyobrażeń o środkach badania, ale z postawionego—jako cel życia“. Prelekcja Konopnickiej nie miała zaszczytu podobać się referentowi „Czasu”. Współpracownika zgrzybiałego organu owionął w odczycie taki chłód pozytywistycznej szkoły warszawskiej, że biedak nabawił się musiał febrę, bo już potem mający, jak w gorączce. Czytamy tam o toalecie prelegentki, jej postawie, głosie i t. d., niewielka zaś wzmianka o samym odczycie kończy się ustępem: „więcej tam było świetności słowa niż głębokości myśli“. Ej, panie filozofie z „Czasu”, była tam głębokość myśli, tylko ci jej nie pozwiliła redakcja dopatrzeć.—Wczoraj odbył się tu wiec akademicki, na którym młodzież uchwaliła zaprotestować przeciw postawieniu pomnika dla Mickiewicza na wylocie ulic: Sławkowskiej i Długiej.—Na zakończenie nowina prasowa: p. Józef Rychter, nowelista, zacznie z dniem 1 kwietnia wydawać w Krakowie czasopismo p. t.: „Polski Figaro”. Ma to być dwutygodnik.

Voz.

Lwów. (Kor. „Głosu”). Dużo się u nas pisze na temat pomocy, której tak potrzebują w obecnej chwili włościanie, dużo rautuje i śpiewa, a pomimo całego szeregu tych „okolicznościowych” uroczystości i dwóch jednodniówek literackich („Kola” art. i Tow. oszczędności, kobiet) akcja wlecie się powoli, jak żydowska szkap. Dość powiedzieć, że codziennie niemal rozmiary klęski głodowej wzrastają, tak, że udzielane, niby na lekarstwo, zaliczki i zapomogi, toną w morzu ogólnej nędzy. Oto kilka smutnych, a pouczających cyfr: w pow. kolbuszowskim w 18 gminach wykazano około 5,100 osób już dziś głodem dotkniętych, a przeszło 6,000 zagrożonych; w pow. ruskim w 6 gminach wykazano 4,750 osób cierpiących głód (w tej liczbie około 3,000 w dobrach J. Komorowskiego); w pow. podhajeckim w 14 gminach zgłoszono 3,065 osób, dotkniętych głodem a przeszło 7,100 zagrożonych klęską na wiosnę; w pow. sanockim w 24 gminach ogłoszono 6,049 osób dotkniętych głodem a 8,384, zagrożonych; w pow. skałackim naliczono 9,935 osób cierpiących głód a 11,633 zagrożonych itd.—Marszałek krajowy hr. Tarnowski zwołał na dzień 18 b. m. ankietę, która ma zająć się rozpatrzeniem reform, pozostających w związku z fundacją bar. Hirscha dla Galicyi. Do udziału w naradach wezwano mężów zaufania bar. Hirscha, oraz osoby, interesujące się sprawą żydowskiego proletariatu. Słyszeliśmy, że inicjatorowie ankiety usiłować będą dowieść potrzeby (!) i ewentualnego pożytku (!) dwunastomilionowego zapisu nie tylko dla żydów, lecz dla całego kraju. Sztuce tej powodzenia rokować nie możemy.—Na wente dla włościan nadesłała tu p. Eliza Orzeszkowa piękne album, zawierające kolekcję roślin nadnie-

meńskich z napisem: „Idźcie, kochane nadnieńskie kwiatki nad Peltwią i proście tam ludzi możnych o kawałek chleba dla biednych i głodnych. Grodno 1890.” W Dębicy zmarł Piotr Woźniakowski, dyrektor gal. teatrów prowincjonalnych, około ich rozwoju bardzo zasłużony. Żonę i dzieci pozostawił w nędzy. — P. Henryk Josse zamieścił w „Kur. lw.” bardzo dobrze napisany feljeton pt.: „Nasze afrykanki”, gdzie smaga biczem sarkazmu miłość naszych pań ku zanybarskim męczennikom.—Z dniem 1 marca zaczął tu wychodzić nowy dwutygodnik dla ludu pt.: „Gospodarz wiejski” pod redakcją p. Wł. Szybińskiego.—Teatr wystawił ze średnim powodzeniem komedię Przybylskiego pt.: „Złote góry.” Nullus.

—Kronika Słowiańska. Rząd austrijski zezwolił na zawiązanie komitetu narodowego, celem wzniesienia pomnika dla Husa.—Rząd węgierski proponuje zakładanie przytułków dla wychowania dzieci, pozbawionych rodziców. W przytułkach tych językiem głównym ma być język ojczysty wychowawców, węgierskiego zaś dzieci będą się tylko tyle uczyły, aby mogły później słuchać wykładów w szkole początkowej, ponieważ jednak za warunek położono, aby nawet mamki знаły język węgierski, przeto przytułki te będą po prostu narzędziem mądziaryzacji słowian, a głównie słowaków.—Po raz pierwszy inspektorem szkół w Krainie naznaczono słowacka Leweca, prawdopodobnie więc germanizacja tych szkół już się skończyła.—Jedno z miast kroackich postanowiło wystawić pomnik zakonnikowi Imbrutinowiczowi, który odzna- czył się w wojnach z Turkami w 17 w.—Gazety greckie obwiniają nauczycieli ludowych szkół bułgarskich w Macedonii o spiskowanie przeciw rządowi. Celem tych oskarżeń jest chęć skłonienia rządu do zamknięcia szkół bułgarskich, aby wynarodowienie słowian poszło szybszym krokiem.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Przyjęcie przez cesarza Wilhelma dymisji ks. Bismarka, jest najefektowniejszą nowiną bieżącego tygodnia. Pomimo, że wiadomość ta długo nie otrzymywała urzędowego potwierdzenia, wszystkie bez wyjątku dzienniki uważały ją odrazu za zupełnie pewną. Nie jest ona zresztą niespodzianką i ta okoliczność wyjaśnia, dla czego wrażenie wywołane przez wiadomość nie jest tak wielkie, jakby przypuszczać można było. Dzienniki wolnomyślnie nie tają swej radości, narodowo-liberalne obawiają się widocznie, że ich stronnictwo usuwa się grunt z pod nóg. W Austrii wiadomość przyjęta została z pewnem zadowoleniem, ostatnimi bowiem czasy monarchija habsburska miała ważne powody uważać się na obojętność ks. kanclerza. Za przyczynę dymisji podają powszechnie głęboką różnicę poglądów cesarza i ks. Bismarka na najważniejsze kwestyje wewnętrzne, chociaż porażka stronnictw rządowych na ostatnich wyborach zapewne bardziej przyczyniła się do poderwania pokładanego w kanclerzu zaufania. Jako prawdopodobnych następców księcia wymieniają kilka osób, jako to Puttkamera, Miquela, Beningsena, Böttichera, i wreszcie b. ministra marynarki Caprivi'ego *). Prawdopodobnie jednak żaden z nich nie odziedziczy w całości tej wyjątkowej władzy, jaką piastował ks. Bismark dzięki swym wyjątkowym wobec tronu zasługom. Jednocześnie z ojcem podał się też do dymisji hr. Herbert Bismark, prośba jego jednak przyjęta nie została. Cesarz, jak donoszą telegramy, jest, pomimo przesilenia kanclerskiego, w doskonałym humorze, a to z powodu pomyślnego biegu rozpraw na konferencyi międzynarodowej. Zebrała się ona istotnie w dniu oznaczonym. Zebranych powitał minister Berlepsch przemową, w której zwrócił uwagę na to, że kwestyja robotnicza powinna zwrócić uwagę powszechną nie tylko ze względów humanitarnych, ale także ze względów państwowych, zwłaszcza od chwili, gdy konkurencyja przemysłowa zaczęła stawać się groźną dla pokoju. Zaznaczywszy teoretyczny charakter konferencyi, minister wyraził nadzieję, że w każdym razie prace jej nie pozostaną bezowocnymi, ze względu na osoby, przyjmujące w niej udział. Zgromadzenie jest rzeczywiście imponujące, cała zachodnia Europa jest na niem reprezentowana. Francyja wystąpiła weale okazale. Zamiast poprzednio projektowanych w skład delegacyi weszli członek akademii i senator Juljusz Simon (autor wielu dzieł, poświęconych pracy kobiet i dzieci), b. „czerwony” robotnik, obecnie senator Tolain, radykalny deputowany Burdeau, inspektor górniczy Linder i mechanik Delahaye. Ten ostatni bodaj że będzie jedynym robotnikiem w całym zgromadzeniu, składającym się przeważnie z urzędników i inspektorów fabrycznych z dodaniem kilku wielkich fabrykantów; ma to być człowiek bardzo wykształcony, socyalista z przekonań, nie biorący jednak udziału ozyanego w polityce.

*) Ten ostatni mianowany.

Wśród delegatów państw innych spotykamy też wielu ludzi poważnych, dobrze z kwestyją robotniczą obeznanych, że wspomniemy np. o delegacie włoskim Bodio, którego badania statystyczne nad płacą zarobkową nie mają sobie równych w Europie. Konferencyja utworzyła 3 komisyje, poświęcone pracy w kopalniach, pracy niedzielnej i pracy kobiet i dzieci. Przewodniczącym konferencyi został wybrany minister Berlepsch, na prezesa komisji do pracy niedzielnej wybrano biskupa Koppa, w komisji zaś do pracy kobiet i dzieci godność tę powierzono Juljuszowi Simon'owi. Obrady konferencyi trzymane mają być w tajemnicy.

Tryumfy gabinetu Tirarda były nader krótkotrwałe. Ministeryjum czuło się tak niepewnym swego losu, że skorzystało z pierwszej nadarzonej sposobności (niepomyślnie wotum senatu w kwestyi traktatu handlowego z Turcyją) i podało się do dymisji, którą też natychmiast otrzymało. Nowy gabinet sformowano niezwykle szybko. Na czele jego stoi p. de Freycinet, który pozostał przy dawnej swej tece ministra wojny. Na stanowisku ministra skarbu pozostał Rouvier. Teke spraw zagranicznych otrzymał Ribot (z lewego centrum), spraw wewnętrznych „energiczny” Constans. Dla przeciwwagi oportunistycznemu charakterowi większości gabinetu teki oświaty i robót publicznych powierzono radykalistom: Bourgeois i Yves Guyot'owi. Wyznanie wiary nowego gabinetu było dość bezstronne, dużo w niem mowy o koncentracji republikańskiej, jest też kilka słów o opiece nad pracą. Jedną z najmniej przyjemniejszych spuścizn po dawnym gabinecie jest bezwzględny zatarg z Dahomejem, grożący przybrać formę nowej wojny kolonialnej.

Władca amazonek wziął w niewolę kilku francuzów, spustoszył pozostające pod protektoratem Francyi terytorjum Porto-Novo, obecnie zaś domaga się zupełnego wycofania się francuzów z od wieków zajętego przez nich wybrzeża.

Gabinet lorda Salisbury'ego również chwiać się zaczyna. Wybory dodatkowe do parlamentu wypadają dla niego coraz gorzej. Ostatnimi czasy gladstońscy zwyciężyli na wyborach w Londynie i w Stoke nad Trentem, t. j. w okręgach, gdzie stronnictwo rządowe było pewne prawie wygranej. Jednocześnie gabinet obawia się wystąpić z jakakolwiek reformą, by nie wywołał rozpadnięcia się zlepięnej z różnych żywiołów większości. W czasie rozpraw nad podziękowaniem dla komisji sędziów, najdotkliwsze cieżki otrzymał gabinet od jednego z najwybitniejszych członków partyi, lorda Churchilla. Wykazywał on, przy grzmiących oklaskach opozycyi, niekonstytucyjność i nieuczciwość postępowania rządu w całej tej sprawie od samego jej początku aż do końca.

W Austrii ogromne wrażenie wywarło oświadczenie 3 biskupów, należących do komisji szkolnej izby panów, że wymagają oni koniecznie szkoły wyznaniowej, udziału duchowieństwa w mianowaniu i kontrolowaniu nauczycieli, którzy w szkołach katolickich winni być katolikami. Na razie sądzono, że wystąpienie to spowoduje bezwzględne rozpadnięcie się większości. Obecnie jednak zdaje się prawdopodobniejszym, że oświadczenie to miało na celu tylko zaznaczenie stanowiska i że większość obecna utrzyma się przynajmniej do wyborów, które nastąpią w r. b. W radzie państwa młodoczech Waszaty napadł gorąco na rząd za prześladowanie swego stronnictwa (szczególniej na zakaz sprzedaży *Nar. listów*) i na ugodę czesko-niemiecką.

W parlamencie pruskim odbyły się jak zawsze bezowocne debaty polskie, wywołane wnioskiem ks. Stablewskiego o języku w szkołach i złożonym przez rząd sprawozdania komisji kolonizacyjnej. Windhorst potępiał politykę rządową i dowodził, że w chwili tak poważnej walki społecznej wszystkie stronnictwa porządku winny zapomnieć o swych dawnych waśniach. Wolnomyślny Rickert również surowo ganił przedsiębrane przez rząd środki, jakkolwiek zapewniał, że ani on, ani jego stronnicy nigdy by się nie zgodzili na ustąpienie prowincyj polskich, należących do Prus.

W Anglii wybuchnęły z nową siłą strejki robotnicze. W Lancashire, Yorkshire, Derbyshire i północnej Walii do zwoju przystąpiło 120,000 górników, żądając podwyższenia płacy o 5% natychmiast i o drugie 5% za parę miesięcy. W Liverpoolsu strejkuje 50,000 robotników w dokach.

W Niemczech również wrzenie nie ustaje. Górnicy, zebrani w Dortmundzie, postanowili przyjąć udział w zwoływany w Belgii kongresie międzynarodowym i na przedstawiciela swego mianowali Schrödera. Zgromadzenie to zostało przez policyję rozwiązane.

KRONIKA NAUKOWA.

Kanały morskie. Z upadkiem towarzystwa francuzkiego nie upadł jednak projekt połączenia za pomocą kanału oceanów Spokojnego i Atlantyckiego. Przeciwnie

rozpoczęły się już nawet roboty około kanału który przetrnie terytoryjum rzezypospolitej Nicaraguńskiej. Warunki miejscowe są daleko dogodniejsze niż w Panamie. Dla kanału użytkowane być mają przedewszystkiem znaczne zbiorniki wód słodkich: mianowicie ogromne jezioro Wielkie, czyli Niagara, zajmujące przestrzeń 1,500 kilometrów kwadr. i mogące pomieścić flotę całego świata, oraz rzeka S. Juan, łącząca jezioro z Morzem Antylskim. Właściwy kanał ciągnął się by tylko od jeziora do Oceanu Spokojnego na przestrzeni około 80 kilometrów. Cała droga morska równać się będzie 272 kilom. i przytem głębokość nigdzie nie będzie mniejsza, niż 7 metrów. Ostatecznymi punktami będą porty Graytown na oceanie Atlantyckim i Briko — na Spokojnym. Roboty, niezbędne dla doprowadzenia tych portów do stanu, odpowiadającego warunkom przyszłej komunikacji, kosztować będą około 80—100 milionów franków, koszt zaś ogólny wynosi około 500 milj. fr. Towarzystwo, które się podjęło budowy kanału, otrzymało od rządu nicaraguńskiego 1,000,000 akrów ziemi po obu stronach kanału na 99 lat, z uwolnieniem od wszelkich podatków. Według przypuszczalnych obliczeń przechodzić będzie przez kanał nie mniej niż 5 milj. tonn rocznie, co przy opłacie 8 fr. od tonny, da dochodu 40 milj. fr. brutto rocznie. Kraj jest niezmiernie bogaty. Kukurudza, kawa, trzcina cukrowa, tytoń, wanilla, kakao produkują się już obecnie w znacznych rozmiarach i wyborowych gatunkach. Hodowla bydła znajduje tu doskonałe warunki. Bogactwa mineralne znaczne, złoto i srebro spotyka się w całym niemal kraju. Klimat zdrowy. Robotników dostać można na miejscu i to za tanie pieniądze. Przed kilku laty wodzowie indyjan miejscowych zobowiązali się dostarczyć tow francuzkiemu, które zamierzało rozpocząć budowę kanału, 3,000 ludzi po 2 fr. dziennie. — Oprócz kanału powyższego wspomniano o rozpoczętej już przed 2 laty przeszło budowie kanału, łączącym Kiel z ujściami Elby. Pracuje tu kilka tysięcy robotników, przeważnie włochoń, szwajcarów i tyrolczyków z płacą 3—4 fr. na dzień. Natomiast kanał Koryncki, rozpoczęty już w r. 1882, dotąd ukończonym nie został dla braku pieniędzy. Budowa jego pochłonęła już przeznaczone na ten cel 30 milj. fr. i stojący na czele przedsięwzięcia gen. Turr napróżno poszukuje nowych 30 milj. fr. — Z projektowanych kanałów wymienić musimy kanał, mający przeciąć półwysep apeniński. Projektowany kanał, jako nader ważny ze względów strategicznych, miałby kolosalne rozmiary. Przy 282 kilom. długości, szerokość wynosiłaby około 100 metr., a głębokość do 12 metrów, tak że największe pancerniki mogłyby przezeń przechodzić. Koszta wyniosłyby około 600 milionów franków, budowa trwałaby około 6-ciu lat i dałaby zajęcie przeszło 200,000 robotników. Smutny stan finansów włoskich prawdopodobnie nie pozwoli na urzeczywistnienie kolosalnego projektu. W Szwecyi natomiast zapewne wkrótce rozpocznie się budowa kanału, mającego połączyć jezioro Venera z Kattegatem. Długość wynosi 25 kilom., głębokość minimum 7 metrów.

— **Wpływ bakterij na przyswajanie azotu przez rośliny.** (Doświadczenia Bertelota, Willfahrta i Helriegela). Sprawa przyswajania przez rośliny azotu, pierwiastku niezbędnego dla wytwarzania związków białkowych, ze względu na swą praktyczną doniosłość stanowi oddawna jedno z najciekawszych pytań teoretycznej fizjologii roślin, a także praktyki agronomicznej.

Stwierdzono niejednokrotnie w sposób, nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że rośliny czerpią azot nie z powietrza, lecz z ziemi. Rośliny wychowywane zapomocą sztucznej hodowli w ziemi, posiadającej wszystkie niezbędne do życia ich składniki chemiczne, za wyłączeniem azotu, rozwijają się dopóty, póki nie wyczerpią azotu, obecnego w ziarnach; potem zaś nędznieją i giną. Doświadczenia Bertelota pokazały znów, że pochłanianie azotu przez ziemię niezasiadaną zależnem jest niewątpliwie od obecności jakichś mikroorganizmów: podczas gdy w ziemi zwyczajnej, nie pozbawionej mikroorganizmów, okazywał się z czasem przyrost azotu, ziemia wyjałowiona (przepalona) uprzednio, nie okazywała bynajmniej przyrostu tego pierwiastku.

W celu bliższego zbadania tej ważnej sprawy Bertelot prowadził dalej doświadczenia, używając ziemi nie gołej, lecz obsianej roślinami. Do zasiewu brał przeważnie rośliny strączkowe: groch, fasolę, łubin, lucernę, koniżynę. Okazało się, że przyrost azotu w ziemi zasianej, licząc w to i rośliny; był znacznie wyższym, niż w ziemi gołej. Na jeden hektar (prawie 2 morgi) ziemi gołej: 90—150 kilogramów azotu i na hektar zasianej lucerną: 500—700 kilogramów. Przeciętnie wypada, że dorosły osobnik lucerny z korzeniami, liśćmi i t. d. zawiera 16 razy więcej azotu, niż posiadał go w ziarnie. Całą tę ilość azotu roślina otrzymuje z ziemi. Na tej olbrzymiej zawartości azotu polega użyźniający charakter roślin strączkowych: lucerny, łubinu, koniżyny. Tymczasem rośliny zbożowe nie posiadają już takiej siły przyswajania

azotu. Dla czego tak jest? co warunkuje sobą mniej lub więcej obfite pochłanianie azotu przez ziemię? Stanowczą odpowiedź na to dają następujące doświadczenia Helriegela, Willfahrta i Breala. Brali oni skrzynki szklane zawierające od 4—8 kilogramów czystego piasku kwarcowego, zawierającego zaledwie ślady azotu (1 miligram na kilo). Piasek ten polewano odpowiednio przygotowanym roztworem mineralnym, zawierającym wszystkie niezbędne dla żywiny się rośliny składniki chemiczne, prócz azotu. Następnie przepalano tę ziemię w temperaturze 150^o Cels., a w ten sposób wyjałowiono ją, pozbawiając mikroorganizmów. W takiej ziemi sadzono nasiona roślin strączkowych. Dla zabezpieczenia zaś od bakterij, pokrywano ziemię wyjałowioną watą i polewano wodą dystylowaną. W takich warunkach rośliny posadzone rosły początkowo (przed wyczerpaniem azotu z ziaren) normalnie; potem jednak wzrost ustawał, i stawały się one nędznymi karłami. Przy dodaniu do takiej ziemi wyjałowionej roztworu jakiejś soli azotowej, rośliny rozwijały się lepiej. Rośliny zaś, posadzone na tejże ziemi, nie zawierającej azotu, lecz nie wyjałowionej uprzednio, zachowują się rozmaicie: zboża zwykle marnieją; rośliny zaś strączkowe rozwijają się doskonale. Głównym więc warunkiem przyswajania azotu przez rośliny strączkowe jest niewyjałowienie (nie sterylizowanie) ziemi, nie pozbawianie jej zarodków mikroorganizmów. Że one właśnie muszą w tem grać rolę główną, przekonywa jeszcze ta okoliczność, iż rośliny strączkowe rozwijały się wybornie w ziemi pozbawionej azotu i uprzednio sterylizowanej przez ogrzanie, przy polewaniu ich wodą, pomieszaną z trochę zwykłej ziemi próchnicowej, a więc zawierającej mikroby. Przeciwnie zaś, gdy przed użyciem tej samej wody uprzednio zagotowano i ostudzono, rozwój roślin się powstrzymał. Tak więc doświadczenie i spostrzeżenie bezpośrednie kazaly wnosić, iż działaczami w przyswojeniu azotu przez rośliny strączkowe są jakieś mikroby. Należało je naocznie pokazać. Otóż przy badaniu pod mikroskopem korzeni tych roślin zauważono na nich maleńkie białawe węzłki, które okazały się istotnie zbiorem jakichś laseczkowatych bakterij. Próbowano zarażać temi mikroorganizmami świeżą lucernę przez zakładanie — udawało się to wybornie. Wybrano młode, specjalnie wychowane osobniki grochu, z widlowato rozdwojonym korzeniem; sadzono je w ziemi o której była mowa, lecz każdy korzeń w innej doniczce: jedną z nich polewano wodą niewyjałowioną, drugi przeciwnie. Na pierwszych korzeniach okazały się gromadki tychże bakterij; drugi pozostał gładkim. Ostatecznie: rośliny strączkowe, na korzeniach których rozwijają się pewne bakterije, przyswajają azotu dużo, rosną bujnie. Też same rośliny, będąc wychowane w warunkach, nie sprzyjających rozwojowi tych bakterij, nie przyswajają azotu i rosną słabo. Doświadczenia prowadzone na szerszą skalę w jednej ze stacyj doświadczalnych rolniczych w Niemczech pod kierunkiem prof. d-ra Seelfelda, stanowczo potwierdziły wnioski powyższe.

Z punktu teoretycznego fakty powyższe przedstawiają nader ciekawy i na szeroką skalę praktykujący się w przyrodzie objaw współżycia (symbiozy) roślin strączkowych (a zapewne i wielu innych, może wszystkich...) i pewnych gatunków bakterij. Ze stanowiska praktyki — przy dalszym stwierdzeniu i uogólnieniu tego stosunku bakterij do wszystkich roślin uprawnych, fakty powyższe mogą sprowadzić znakomity przewrót w sposobie użyźniania ziemi pod różne gatunki roślin. Być może dojdziemy do użyźniania roli przez rozsiewanie na niej tego gatunku mikroobów, który okaże się najbardziej przyjaznym dla rozwoju danej rośliny. Byłaby to jeszcze jedna wielka przysługa oddana ludzkości przez naukę o bakterijach.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Bazar pracy kobiet** otwarty zostanie w Lublinie jeszcze w b. m.

— **Egzamina.** Podobno za staraniem uniwersytetu petersburskiego egzamina studentów przeniesione zostały z maja na kwiecień.

— **Kasy oszczędności.** Ministerjum oświecenia roztrząsa kwestyję zaprowadzenia szkolnych kas oszczędności.

— **Ministerjum komunikacyj** przyznano na r. b. 75,000 rs. na uregulowanie Prypoci między Czarnobyłem a ujściem, 100,000 rs. na ulepszenie żeglugi na Dniestrze i 150,000 rs. na uregulowanie Wisły nad granicą austryacką i uregulowanie koryta jej pod Warszawą.

— **Sąd polubowny.** Przy cechu rękawiczników w Warszawie ma powstać sąd polubowny, który rozstrzygać będzie spory między majstrami a czeladnikami.

— **Kasy pożyczkowe dla rzemieślników** w obecnej porze zasypane są podaniami o pożyczki.

— **Katastrofa.** W kopalniach Cardiff w Anglii nastąpiła w d. 10 b. m. straszliwa eksplozja gazów, skutkiem której setki robotników zamknięte są w głębi kopalni.

— **Górnicy angielscy** w Northumberland głosowali na zebraniu jednogłośnie przeciw zaprowadzeniu osmiogodzinnego dnia roboczego!

— **Emerytura.** Na zebraniu urzędu starszych zgromadzenia lakierników na wniosek starszego czeladnika postanowiono tym z czeladzi, którzy wnosili przez lat 30 składkę szpitalną, wyznaczyć emeryturę.

— **Zmowa tkaczy** w Akwizgranie już ustała, jak donoszą.

— **Resursa** w Płocku liczyła na początku r. b. 126, podczas gdy na początku r. z. było ich 140.

— **Szarwark.** Dzienniki petersburskie zapisują pogłoskę, iż włościanie mają być zwolnieni od szarwarku w naturze, który zastąpiony zostanie opłatą pieniężną.

— **Słownictwo.** Towarzystwo młodych przemysłowców w Poznaniu opracowało słownik nazw narzędzi, używanych przez stolarzy, a noszących dotąd nazwy niemieckie.

— **Ubezpieczenia.** Wszystkie zarządy kolei żelaznych w Królestwie, prócz nadwiślańskiej, odpowiedziały przychylnie na projekt jednego z towarzystw asokuracyjnych w przedmiocie ubezpieczenia życia urzędników i oficyalistów, oraz ich rodzin, przy znacznych ustępstwach ze strony towarzystwa, z warunkami jednak, aby zarządy same potrącały składki z pensyj asokuracyjnych.

— **Słowiańskie towarzystwo dobroczynności** w Petersburgu liczyło na początku r. b. 37 członków honorowych, 60 dożywcotnich i 878 rzeczywistych.

— **Pomoc gorzelniom.** Projekt środków, mających na celu pomoc właścicielom gorzelni, wniesiony już został do rady państwa.

— **Kasa emerytalna.** Ministerjum spraw wewnętrznych opracowuje projekt kasy emerytalnej dla swoich urzędników.

— **Kasa pomocy.** Czeladź rękawicznicza naradza się obecnie nad założeniem kasy wzajemnej pomocy. Kasa ta udzielałaby uczestnikom, złożonym dłuższą chorobą, oraz wdowom po uczestnikach, pewnej pomocy.

— **Towarzystwo św. Wincentego à Paulo** w r. z. wsparło 751 rodzin, w przytulku towarzystwa znalazło czasowe schronienie 55 drobnych dziewcząt.

— **Powiększenie funduszu.** Powiększony został fundusz duchowieństwa prawosławnego na potrzeby szkół w guberniach: wileńskiej, witebskiej, wołyńskiej, grodzieńskiej, kijowskiej, kowieńskiej i podolskiej.

— **Zapis.** Zmarły w Warszawie J. Daniłowicz testamentem zapisał 1,000 rs. na wsparcia dla niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego.

— **Kwestyja** zmniejszenia liczby stałych członków w urzędach gubernijalnych do spraw włościańskich w guberniach zachodnich rozstrzygnięta została przecząco.

— **Projekt.** Powstał projekt rozciągnięcia na warsztaty rękodzielnicze prawa o udzielaniu pomocy lekarskiej robotnikom w fabrykach, z tą różnicą, że właściciele warsztatów będą musieli opłacać składkę na utrzymanie lekarzy, którzy mieliby obowiązek niesienia pomocy lekarskiej uczniom i czeladnikom.

— **Falszywa pogłoska.** Zakłady fabryczne p. Handtkego nie będą przeniesione do Krzywego Rogu, jak donosiły pisma, a rzecz cała ogranicza się do założenia filii tych zakładów w Ekaterynosławiu.

— **Czeladnicy** tapicerscy zwrócili się do majstrów ze zbiorową prośbą, aby pomogli im w sprawie podniesienia funduszu ich kasy przez potrącanie składki szpitalnej przy wypłacie zarobku.

— **Wyjazd mularzy.** Jeden z przemysłowców warszawskich buduje pod Berlinem willo letnie. Przedsiębiorstwo to powierzone zostało majstrowi z Warszawy, który zabiera ztąd ze sobą kilkunastu robotników mularskich i ciesielskich.

— **Kasa wkładowo-zaliczkowa** urzędników sądu okręgowego warszawskiego liczy obecnie 179 uczestników, a podobną kasa urzędników banku państwa w Królestwie 200.

— **O prawa autorskie.** P. Tyniński, w imieniu ruskiego towarzysza autorów dramatycznych, oskarżył p. Geszychtera, używającego zwykle teatralnego pseudonimu Jakowlew, iż w klubie ruskim w Warszawie wystawił cały szereg sztuk, nie mając na to pozwolenia towarzystwa. Oskarżony tłumaczył się, iż pozwolenia nie mógł uzyskać wobec braku środków materialnych. „Warunki, w jakich dawaliśmy przedstawienia, mówił p. G., wyłączały możliwość płacenia za pozwolenie. P. T. żądał odemnie 800 rs., licząc za akt po 3 rs., gdy teraz od trupy Korza wymaga tylko po 2 rs. Było nam tak źle, że aby opłacić najpilniejsze długi i opuścić Warszawę, musieliśmy sprzedać część rekwizytów teatralnych.” Sąd okręgowy Warszawski skazał p. G. na dwa tygodnie aresztu policyjnego.

— **Z Liverpoolu** donoszą, że tam 50,000 robotników w warsztatach okrętowych zaprzestali robót.

— **Szkola ogrodnicza** w Warszawie nie powstanie tak prędko, gdyż dopiero w roku przyszłym zacznie się stawianie budynków dla nowej szkoły.

— **Stowarzyszenie Choweve Syjon** (miłośnicy Syjonu), poświęcone sprawie kolonizacji Palestyny przez żydów, uzyskało zatwierdzenie ministerjum i nosić będzie nazwę „Stowarzyszenie palestyńsko-żydowskie. Zarząd stowarzyszenia znajdować się będzie w Odesie. W ten sposób emigracja żydów będzie mogła odbywać się jawnie i rozwijać prawidłowo.

— **Jednodniówka**. Redakcja *Kolców* zamierza wydać jedno-dniówkę artystyczno-literacką na korzyść żłobka.

— **Towarzystwo zachęty sztuk pięknych** na końcu r. z. liczyło 5,190 członków.

— **Zakaz**. Policja warszawska zabroniła czeladzi i terminatorom piekarskim sypiać w izbach piekarskich.

— **Bankructwa**. Zoowu zawiesiły wypłaty dwie firmy warszawskie: fabryka mydlarska C. E. na sumę 8,500 rs. i fabryka kapeluszy S. S. na 25,000 rs.

— **Departament górniczy** opracowywa projekt ustanowienia w prywatnych zakładach i kopalniach górniczych takiej samej ogólnej organizacji pomocy dla robotników górniczych, jaka istnieje w zakładach skarbowych, gdzie wszystkim robotnikom, którzy ucierpieli w skutek nieszczęśliwych wypadków, wznaczają pensyję.

— **Kasa zaliczkowo wkładowa** urzędników kolei terepolskiej liczy 227 uczestników.

— **Zakład dla sierot** chłopców po robotnikach, przy ulicy Litewskiej, liczy obecnie 20 wychowanców.

— **Zmowa**. W Medyolanie wybuchła zmowa 3,000 robotników budowlanych.

— **Kasa emerytalna**. Ministerjum oświecenia wznowiło pracę nad utworzeniem ogólnej kasy emerytalnej dla nauczycieli szkół początkowych w całej Rosji.

— **Emigracja**. W r. z. wyemigrowało z Niemiec za granicę 90,259 osób, w czem z Poznańskiego 10,310, z Prus Zachodnich 10,038, z Prus Wschodnich 2,031, ze Szlązka 1,905 i t. d. W ciągu ostatniego pięcioletnia wyemigrowało z Niemiec 475,599 osób, co stanowi przeciętnie rocznie 95,000.

Znędzy. W pismach codziennych w tygodniu ubiegłym nie pomieszczono jednego ogłoszenia o zamiarze odania na własność 9-letniego chłopca w Łodzi.

Wypadki. W tygodniu ubiegłym pisma codzienne doniosły o pięciu wypadkach z robotnikami przy pracy, a mianowicie: 1) w fabryce wyrobów rogowych przy ulicy Czerniakowskiej N 3,002 robotnik został schwytyany przez pas i rzucony na warsztat, skutkiem czego uległ lekkiemu obrażeniu głowy i lewego boku; 2) w fabryce chemicznej Kijewskiego i Scholtzego przy ul. Solec podczas smarowania kotłów robotnik stracił równowagę i spadł na posadzkę kamienną, przy ozem ciężko się potłukł; 3) w fabryce koronek Szlenkiera przy ul. Dzielnej robotnica pochwyciona przez pas uległa zgruchotaniu ręki; 4) przy ul. Chmielnej pod N 53 robotnik, okuwający okna na drugim piętrze, wypadł na bruk i uległ rozbiciu czaszki, skut-

kiem czego życiu jego grozi niebezpieczeństwo; 5) w Markach, w gm. Brudno, w przedalni robotnik dostał się pod koła maszyny, która zgruchotała mu lewą rękę.

— **Zmarli**. *Henryk Wizdek*, dyrektor cukrowni, jeden z autorów terminologii cukrowniczej polskiej, zm. w Warszawie.

J. F. Smith, słynny niegdyś romansopisarz, zm. w Londynie.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. Jan. w Peters. za IV kw. należało się nam od pana 1 rs. 75 k., za I kw. 2 rs. 25 k. pozostaje więc na II kw. 50 kop.

P. N. Kos w Boy. „Głos“ polecił wysłać p. M.
P. Ap. S. w K. 1) Socjologija dla prenumer. rs. 3 kop. 60 z przes. 2) Zeszyt I Instytutu zapewne rozminął się z listem, prosimy o zawiadomienie, czy otrzymał go pan; 3) można pisać i *kuryer* i *kuryjer*, najmniej właściwą pisownią jest *kuryjer*.

P. A. M. Spelniliśmy.
P. W. H. w Moskwie. Najlepszym z istniejących słowników jest słownik Potockiego w dwóch częściach: polskorus. i rus-pol. po 6 rs. 50 kop.

Do numeru dzisiejszego dołączamy *catalog nowych książek* (za styczeń, luty i marzec).

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: Drukarnia A. Pajewskiego
12 Niecała.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedya
Encyklopedya
Encyklopedya

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

PODZIĘKOWANIE. Bardzo jestem wdzięczny p. **JULIANOWI DREHER** Optykowi w Warszawie na ulicy Szpitalnej Nr. 6, za akuratne dobranie okularów, które w noszeniu okazały się praktycznymi i wygodnymi pod każdym względem.
Dr. J. Moreff.

Dwa razy kupowałem dotychczas binokle u p. Drehera, to chyba dowód, że byłem z nich zadowolony.
Maryjan Gawalewicz.

NAUCZYCIELKA Z PATENTEM

Poszukuje korepetycyj i lekcyj: religii, języka ruskiego, arytmetyki oraz polskiego.

Piękna Nr. 34 m. 7.

Nakładem redakcyi Głosu
wyszedł z druku

tom II

ZASAD SOCYOLOGII

Herberta Spencera

w przekładzie J. K. Potockiego

Cena rs. 1 kop. 80.

Poprzednio wydany tom I kosztuje rs. 3.

Prenumeratorem „Głosu“ otrzymują 25% rabatu, wypisujący zaś wprost z redakcyi oprócz tego nie ponoszą kosztów przesyłki.

Skład główny w redakcyi, Warecka Nr. 9.

Księgarzom odstępujemy odpowiedni rabat.

Nakładem redakcyi GŁOSU wyszła w taniem, przeznaczonem dla ludu wydaniu powieść A. Dygańskiego p. t. **KUBA GAŚSIOR** (odbitka z drukowanej w piśmie naszym powieści **W chłopskiej rodzinie**). Cena egzemplarza (94 str.) kop. 15. Księgarniom i osobom, nabywającym większą ilość egzemplarzy, odstępujemy stosowny rabat.

WYBÓR

NAJCELNIEJSZYCH POWIEŚCI

Aleksandra Dumasa (Ojca).

Stary Dumas należy do najcelniejszych powieściopisarzy, nie tylko we francuskiej, ale w całej literaturze europejskiej. Niezwykła zdolność interesującego przedstawienia epok dziejowych, tworzenia postaci pełnych życia, a tak uplastycznionych, że stoją jak żywe przed oczyma i na długo zachowują się w pamięci przez swą oryginalność; niezrównana wreszcie pomysłowość w rozwijaniu wypadków, wszystko to zapewniło Dumasowi powodzenie olbrzymie. Czytelnik z żalem rozstaje się z jego powieściami, bo czytanie ich sprawia mu niewysłowioną przyjemność. Kiedy w literaturze naszej ukazały się arcydzieła historyczne Henryka Sienkiewicza: „Ogniem i Mieczem“, „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“, krytyka prawie jednomyślnie zauważyła, iż mają one ten romantyzm szlachetny, który powieściom starego Dumasa zapewniał tak wielkie uznanie. Jest to pochwała zarazem dla obu znakomych pisarzy.

Wiele z powieści Dumasa nie zostało jeszcze na nasz język przetłumaczonych, a te, które ukazały się przed półwiekiem, są też bardzo mało znane młodszemu pokoleniu i przy nieudolnym przekładzie, nie dają najmniejszego pojęcia o ich prawdziwej piękności. Z tego powodu, a także w przekonaniu, że dla tych, którzy z utworami autora „Trzech Muszkieterów“ zapoznali się przed laty, przyjemną będzie rzecz przypomnieć sobie dawne wrażenia i porównywać je przy powtórnym czytaniu, podjęliśmy nowe wydanie najcelniejszych powieści Dumasa ojca, zarówno z nie-tłumaczonych dotąd jak i tłumaczonych przed laty.

Wydawnictwo rozpoczęte już zostało cyklem pięciu powieści pod ogólnym tytułem „Pamiętniki Lekarza“. Cykl ten stanowią powieści: **Józef Balsamo** czyli **Cagliostro**, **Naszyjnik Królowej**, **Anioł Pitoux**, **Hrabina de Charny**, **Kawaler z Czerwonego Domu**, ogółem tomów 36. Na tle krwawych dziejów zeszłego wieku we Francji, które sprawiły taki potężny przełom w cywilizacji wszechświatowej rozstrzygnął autor nader zajmującą opowieść, wśród której występują postacie historyczne, roztańcza się cały przepych ówczesnej epoki obok przerażającej nędzy, a dramat kończy się tragiczną katastrofą na gilotynie. Efektowny też jest tu niezmiernie obraz ówczesnej masoneryi i nader ciekawie przedstawione są sceny z próbami snu magnetycznego, który wtedy całkiem był nowym odkryciem, a dziś tak interesuje zarówno uczonych, jak i tych, dla których nie może być obojętną tajemniczość natury ludzkiej.

Wydawnictwo wychodzi regularnie co 10 dni tomami, każdy tom zbroszurowany, w okładce zawiera od 230—256 stron druku na dobrym papierze.

W kantorze drukarni W. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11 nabywać można to wydawnictwo po cenie niezwykle niskiej, albowiem po kop. 15 za tom. Dotąd wyszło już tomów 4. W handlu księgarskim cena wynosi kop. 25.

Kupujący z prowincyi, celem zmniejszenia kosztów przesyłki pocztowej, nadsyłać winni należność przynajmniej za trzy tomy razem—a mianowicie kop. 45 za trzy tomy i kop. 30 za rekomendowaną przesyłką pocztą, czyli razem kop. 75.

Wydawca: **JÓZEF ŚLIWOWSKI**, redaktor Romansu i Powieści.